Należytość pocztowa opłacono ryczałtem

cena 25 gr.
nr 1
15. I. 1936
LWÓW

NOWE CZASY

Tak nie wolno

W „Gazecie Polskiej" (Nr. 8 z dn. 8 b. m.) ukazał się na naczelnem miejscu artykuł p. Kawałkowskiego p. t. „Zagadnienie ukraińskie w r. 1935", w którym znalazł się następujący ustęp:

„...Społeczeństwo polskie w województwach południowo - wschodnich ulega ciągle jeszcze ...wnej psychozie, wytworzonej przez narodową demokrację i zajmuje raczej pozycję walki, starannej izolacji i wyłączności, **nie wykazując ciągle jeszcze dostatecznego zżycia się z ideą Państwa Polskiego**".

Swawola słowa pisanego tem jest przykrzejsza i niewłaściwsza im wyższy jest autorytet, który na nią przyzwolenie daje. Za taki autorytet uważam świetnie redagowaną „Gazetę Polską", z reguły bardzo ostrożną, powściągliwą w osądach, rzeczową w poczuciu odpowiedzialności za podawane publicznie do wierzenia słowo.

I tylko dlatego, tylko ze względu na organ, w którym wspomniany artykuł się ukazał, zabieram głos, aby tylko słowom, przezemnie w cytacie podkreślonym — uwag kilka poświęcić.

Jednostronna odpowiedź — bowiem — na pytanie: czy my, właśnie my Lwowianie i Małopolanie zajmujemy „pozycję walki" wobec ukraińskiej ludności i izolujemy się od niej — może być tylko owocem skłonności do prymitywnych uproszczeń zagadnienia, z pewnością bardzo trudnego i złożonego. Nam bowiem, społeczeństwu polskiemu w województwach poł. wschodnich, często gęsto się wydaje, że to nie my się izolujemy, ale że nas się izoluje, że to nie my po manowcach wąskiego, etnicznego nacjonalizmu błądzimy, ale, że wbrew nam, zasadę walki i konkurencji politycznej się petryfikuje, jako obowiązującą. Czy tak jest, czy inaczej, zależy bodaj przedewszystkiem od... perspektywy, od warszawskiego, względnie lwowskiego punktu widzenia: od warszawskiego, t. j. centralnego, generalnego, niemal światowego, sub specie „cienia Iwana Kality" konstruowanego: od lwowskiego, t. j. czerpanego z życia, autopsji, doświadczenia, konieczności, choćby się go z Warszawy określało, jako prowincjonalny, regjonalny, ba! powiatowy...

„Wszelka teorja jest szara" i — dodajmy — względna, ale czy wolno z konstrukcji bardzo subjektywnej, to dotyczącej, bądź co bądź, tylko jednego z zagadnień (bardzo ważnego zresztą) życia społeczeństwa polskiego na ziemiach południowo wschodnich — wyprowadzić aż generalną tezę o „ciągle jeszcze" (sic!) niedostatecznem zżyciu się tego społeczeństwa z ideą Państwa Polskiego?...

Nie zacznę w tej chwili, jakby może oczekiwać należało, demonstrować dewocjonaljów narodowych i państwowych społeczeństwa małopolskiego, nie będę obnażał blizn ani pokazywał krzyżów, ani nie przypomnę nawet słów Wielkiego Autorytetu, Który społeczeństwu temu przyznawał prymat czynnej, bojowej i politycznej reprezentacji ideji Państwa Polskiego wówczas, gdy tego Państwa na ziemi jeszcze nie było.

Sądzę natomiast, że pozbawione wszelkiego tytułu i (nie pierwsze zresztą) obraźliwe mentorstwo pod adresem społeczeństwa małopolskiego, uprawiane przez pewne warszawskie koła, dotknięte już, zdaje się, chronicznie kompleksem czy urazem psychicznym w stosunku do Małopolan — nie jest najszczęśliwszą metodą, mogącą przyspieszać realizację „procesu zrastania się Narodu z Państwem".

Z tego urazu, jeśli jeszcze można, trzeba się koniecznie leczyć. Społeczeństwo polskie na ziemiach południowo wschodnich jest krewkie ale i bardzo cierpliwe. Może jeszcze czekać na wyniki leczenia tego urazu, ale wyprasza sobie „lekcje", jak ma się „dostatecznie zżywać z ideą Państwa".

Aleksander Domaszewicz.

Pielgrzymka do Absolutu

„Wyjdzie z zamętu świat ducha"... Czy wyjdzie i kiedy? Rok miniony nie postawił na tej drodze żadnych semaforów dla zbłąkanych moralnie społeczeństw. Wskazówki kompasów biegają swawolnie dookoła swej osi, tendencji do zatrzymania się nie wykazują. Narody wodzą oczami coraz bardziej zmęczonemi za ruchem tych wskazówek w zaczarowanem kole, ale dręczące pytanie: którędy i dokąd maszerować — pozostaje ciągle bez odpowiedzi. Zamęt nietylko trwa. Pogłębia się wciąż i rozlewa wszerz.

Prez. Roosvelt uzyskiwał w czasie wygłaszania swego orędzia noworocznego gromkie oklaski słuchaczy. Szef U. S. A.-y zdobywał się na akcenty niemal wilsonowskie. Z kwakierskim zapałem apostoła gromił żądze odwetu, paroksyzmy nienawiści, narodziny nowych szałów wojennych, piętnował tych, jego zdaniem, nielicznych, którzy dzieło pokoju pragną pogrążyć w nowej konflagracji. Ameryka odwraca się ze wstrętem od starego świata łupieżczych knowań i intryg. No, dobrze, ale dlaczego chyłkiem, wśród największej tajemnicy, myląc czujność własnych organów bezpieczeństwa, ucieka z tej Ameryki — jej największy współczesny bohater i duma, nowoczesny Kolumb — pułk. Lindbergh? I ucieka właśnie do tej niemoralnej Europy?... Ilu gangsterskich agentów urządziło owację ascetycznej pozie Prezydenta Roosvelta?

Dziekani korpusów dyplomatycznych prawili w dniu 1 stycznia głowom państw wzniosłe kazania o wielkiem miłosierdziu ideji pacyfistycznej, zżymali się nawet na okrucieństwa w boliwijskiem Chaco. Ale... podobno w Etjopji toczy się wojna? Ale podobno bomby wyrywają języki czerwonokrzyskim lekarzom — romantykom i w perzynę obracają neutralne lazarety? Nie, o tych drobiazgach nie dotarły jeszcze wieści do kancelaryj protokułów dyplomatycznych...

Zresztą, tu chodzi o sprawę całkiem inną, na zdziwienie i oburzenie niema miejsca: faszyści w porozumieniu z askarysami i Ras Gugsą niosą na ostrzach swych bagnetów dobroczynną cywilizację europejską afrykańskiej swołoczy. To jest poprostu nowa wyprawa krzyżowa do świętego miasta Aksum. Ale po co w takim razie te... „okrutne" sankcje Genewy, dlaczego mister Hoare musiał aż nos złamać w St. Moritz z tego powodu, dlaczego go przepędzono na cztery wiatry, gdy zgłosił akces do tej „wyprawy krzyżowej" i Mussoliniemu dawał placet na rozbiór Abisynji? Czy patetyczny humanitaryzm młodego lorda Eden'a nie wywodzi się genealogicznie z kopalni „czarnego złota" starego lorda Deeterdinga i rzecz cała nie sprowadza się aby do sztabowych operacyj Wall-Street'u o prymat funta szterlinga na tym najlepszym ze światów?...

Ktoś powiedział, że świat rafinuje się w kulturze zakłamania i to w chwili, w której „nordycki" człowiek doprowadza do likwidacji bezrobocia w Niemczech, w chwili, w której tajny budżet wojenny Rzeszy przekroczył cyfry przedwojenne, w chwili, w której fabryki rowerów nad Sprewą oddają się masowej produkcji karabinów a faktyczny stan niemieckich sił zbrojnych osiągnął już liczbę pół miljona głów, szumiących „siłą przez radość" („Kraft durch Freude").

* * *

Siła w radości. Radość w krwi. W chemicznie czystej rasie... W eugenice, które ma standaryzować wzrost mężów nordyckich na — równo — 2 metry. Cóż to za defilada będzie, jakaż rewja w dziejach bezprzykładna, gdy kulawy Goebels swoją propagandą takich dwumetrowych Wotanów wyprodukuje!

Nowy mit, nowy Absolut?

Czy z niego wyjdzie świat ducha?

Chwila w Europie jest osobliwa ale i pora sposobna dla wyrostu nowej mistyki, dla rozpoczęcia pielgrzymki do Absolutu. Gdy świat wiruje w kołowrocie szukania — człowiek marzy o twardym gruncie pod nogami. Gdy mistyka krwi staje się coraz bardziej widmem rzeczowej ideologji mas — tuła się jeszcze po Europie człowiek, „un très grand romancier, plein de génie et d'imagination", pielgrzym do Absolutu, niepoprawny melancholik, który powiada: „Kochać można jedynie w wieczności; dlatego też należy we wszystkiem postępować tak, jak gdyby to, co się czyni, miało być wiecznem".

Jest nim p. Karol Ferdynand Ramuz, mieszkaniec szwajcarskiego kantonu Vaud, protestant z urodzenia i wychowania (dziś nienależący do żadnego kościoła), który ostatnio napisał książkę p. t. „Taille de l' homme" („Miara człowieka").

„Istnieje — powiada — tylko kryzys metafizyczny. Z niego dopiero wynika kryzys ekonomiczny, jako fizyczny". Istota zaś kryzysu polega na tem, że człowiek współczesny utracił miarę, podobnie do bohatera z bajki Andersena, co zgubił własny cień. Trzeba wiedzieć — pisze Ramuz — że dziś dopiero wkraczamy w dobę dramatu, t. zn. wielkiego kryzysu, którego bladem zaledwie odbiciem jest kryzys gospodarczy. Dramat istotny polega na tem, że człowiek niema już miary, zatracając wspólny miernik z wszechświatem materjalnym i — w płaszczyźnie moralnej — kontakt ze światem, w którym miernika tego nigdzie nie odnajduje".

Dramatowi kosmicznemu odpowiada dramat socjologiczny, ich zaś odpowiednikiem jest dramat trzeci, w skutki najbrzemienniejszy — psychiczny i religijny. Splatają się one ze sobą i zapładniają się wzajemnie.

Ramuza obchodzi najbliżej dramat socjologiczny. Odrzucając „burżuazyjny" pogląd na świat, usiłuje zrozumieć komunizm, ale sądzi, że rozumie też chrystjanizm. Potępia przedewszystkiem „mieszczańskość" współczesnej kultury. „Nazywam mieszczaninem en gros tego, kto nie ma ani poczucia istoty bytu, ani szacunku dla niego; mieszczaninem jest każdy, kto sądzi, że pieniądz wynagradza bez reszty". A tymczasem pieniądz opłaca czas, lecz nie opłaca człowieka. „Człowieka opłaca się, i to być może przedewszystkiem, uczuciową sympatją, człowiek potrzebuje bowiem ponad wszystko przyjaźni".

„Mieszczański" i „nie mieszczański" pogląd na świat jest więc przedewszystkiem wynikiem duchowego nastawienia. Profesor Uniw. w Liege L. Levaux uzupełnia ciekawie pogląd Ramuza dowodząc, że „mieszczanin (t. zn. człowiek o psychice mieszczańskiej) jest takim właśnie dlatego, iż nie ukochał więcej, niż samego siebie, tego z czego wyszedł i bez czego nie istniałby wcale, mianowicie Życia, i że nie jest podporządkowany Prawdzie, która jest istotą Życia, tajemnie niem rządzi i winna być biegunem, przyciągającym do siebie każdego człowieka". Tu się kryje źródło „nieczystości burżuazyjnej".

Burżuazja żyje pod znakiem ilości. Lecz i komunista tak żyje. Komunista wywodzi się zresztą z burżuazji. „Rewolucja francuska dała w skrócie przedsmak szeregu późniejszych rewolucyj. Udała się jedynie rewolucja środka (stanu trzeciego), nieuniknioną stała się potem reakcja (Termidor). Późniejsze, poronione rewolucje doczekają się w ten lub inny sposób swego naturalnego finału. Odpowiedzialność za nie ciążyć będzie na burżuazji. Ona przecież zaczęła".

Ramuz dostrzega w genezie komunizmu reakcję, wywołaną poczuciem „sprawiedliwości". Ponadto uwydatnia Ramuz radykalizm komunizmu, polegający na zdecydowanej i niewzruszalnej postawie wobec zasad, służących ustrojowi temu za podstawę, postawie absolutnej zarówno w niszczeniu wszystkiego, co było z nim w przeszłości sprzecznem, jak i w tworzeniu nowego społeczeństwa. W ten sposób komunizm przywraca człowiekowi „utraconą miarę". Komunizm nie czyni już z człowieka istoty stworzonej na podobieństwo Boże i nie umieszcza go, jak to czynili poganie, wewnątrz natury ograniczonej i stworzonej na jego miarę, lecz odwracając się naraz od wszystkiego, co niematerjalne i co w jego pojęciu nawet istnieć nie może, stara się przynajmniej wyznaczyć człowiekowi należne miejsce w społeczeństwie. Komunizm zatem w pewnem znaczeniu jest moralnie czystszy od społeczeństwa burżuazyjnego, pozbawionego wiary w to, co czyni i zastraszająco komplikującego swój styl życiowy.

Głównem nieszczęściem komunizmu jest to, że w sposób zgoła wyjątkowy i niedopuszczalny ogranicza swe podstawy i możliwości rozwoju. Komunizm, odrzucając bowiem radykalnie płaszczyznę metafizyczną, zachowuje jedynie i wyłącznie społeczną. Na tem polega jego bezgraniczne ubóstwo, jego potworność. Pogląd komunistyczny na świat jest ateistyczny, materjalistyczny, antypersonalistyczny, jaskrawo kolektywistyczny, posuwa się bowiem aż do negacji sumienia indywidualnego. Odrzuca bezlitośnie wszelką miłość, prócz miłości dla sowieckiego ustroju. Tępi wszelkie ubóstwienie, prócz ubóstwienia ideologji, której wcieleniem być pragnie. Zaprzecza wszelkiej tajemnicy, odrzuca nawet przyrodę, jako przestrzeń cudownie rozmaitą, jako „natura rerum" starożytności. Pod tym względem komunizm stanowi najgłębsze załamanie dziejowe, jakie kiedykolwiek przeżyła Europa, odkąd wyrosła z Grecji i Rzymu, a chrześcijaństwo jej podwaliny poraz drugi założyło.

W pielgrzymce do Absolutu — Ramuz odrzuca zarówno burżuazyjny jak i komunistyczny pogląd na świat w „dramacie sjocjologicznym". „Anim liberał, ani radykał, ani mieszczanin, ani kapitalista" — przedstawia się swym czytelnikom. Czemże więc jest, gdzie kres wędrówki do prawdy?

Tragedją człowieka nowoczesnego jest dążenie do wygnania z siebie ducha. Wraz z duchem giną z jego horyzontu miłość i wieczność. Są dwie kategorje ludzi: ci, dla których „kochać" znaczy kochać niektóre rzeczy, i ci „co nie potrafią kochać inaczej, jak kochając wszystko". Ramuz zalicza siebie do drugiej kategorji a jest to rodzaj kochania — „religijny". „Kochać można jedynie w wieczności, dlatego też należy we wszystkiem tak postępować, jak gdyby to, co się czyni, miało być wiecznem". Temi słowy kończy się jego książka.

* * *

Z zamętu wyjdzie świat ducha. Z zamętu kultury kłamstwa, w jakim grążą się narody — wyłaniają się samotne postacie, pielgrzymujące w poszukiwaniu za Absolutem. Jeszcze jest ciemno i w mrokach toną jego zarysy. Ale tęsknota za nim jest coraz silniejsza.



przegląd polityczny

Zmęczenie. — Antymieszczański heroizm.

Rok nowy rozpoczął się w publicystyce od manifestacji zmęczenia. Powszechnie się to podnosi. Takie zjawisko noworoczne jest dosyć rzadkie. Na Nowy Rok grzmią zwyczajnie fanfary. W tym roku powitanie nastąpiło w tonacji molowej. Srogi musiał być rok miniony w przeżyciach — niepokojąco raczej zapowiada się nowy, skoro na jego spotkanie wychodzi lęk nerwowy, neurasteniczna troska, czy aby nie uśniemy, odpoczywając, choć „burza huczy koło nas".

„Jesteśmy zmęczeni — pisze w noworocznym Kurj. Porannym poseł Stpiczyński. To już z górą dwadzieścia lat szarpie nas huragan wojny i rewolucji. Jednych zabija, pozostałych nuży. Jesteśmy jak żołnierze utrudzeni długą walką, — zasypiamy co chwila: w marszu, przy jadle, przy pracy. Ciągle majaczą się nam jakieś melodje anielskie, choć huragan nie milknie. Opuszcza nas czujność, ogarnia obojętność. Byle chwila odpoczynku. Byle zasnąć".

Ale zasnąć nie wolno. Z takiego snu możnaby się już nie obudzić.

Więc co czynić? Jak żyć, aby móc walczyć dalej, aby zwyciężyć? Jaką cnotą trzeba natchnąć naród?

Stpiczyński bardzo trafnie (choć — oczywiście — nie on pierwszy i, napewne, nie ostatni) wskazuje cnotę bohaterskiego stylu życia.

„Gdy księgą praw rządzących światem jest kodeks siły, a o skuteczności siły rozstrzyga heroizm, — nie wahajmy się stwierdzić wyraźnie, że rozbudowa siły i krzepienie ducha są naczelnemi zadaniami naszej pracy państwowej — we wszystkich jej dziedzinach. Na tej tylko platformie naród odnajdzie się w jedności. W miejscu, wyznaczonem nam przez los na siedzibę narodową, niema miejsca na państwo mieszczańskie i na rządy ducha mieszczańskiego... Największa trudność obecnego okresu w rządzeniu, rozumianem jako wytyczanie kierunku rozwoju narodu, polega na umiejętności pogodzenia racjonalizmu gospodarczego z duchem rycerskim. Rozwoju kultury z polotem idei bohaterstwa na placu boju. Cnót cywilnych z cnotami wojskowemi".

Kto ma tępić zło?

Wicepremjer Kwiatkowski przemawia publicznie często, mówi dużo i obszernie. Ostatnio przemówił ze szpalt „I. K. C.", który, jak się zdaje, jest dzisiaj coraz częściej organem przez Rząd używanym, a w każdym razie do dyspozycji Rządu stojącym.

W tem, co p. Kwiatkowski za pośrednictwem tego pisma powiedział w dniu Nowego Roku do publiczności — jest z pewnością wiele rzeczy trafnych, pożytecznych i samo przez się rozumiejących się.

Jest też w tym wywiadzie taki ustęp:

„Niech każdy obywatel alarmuje na wieść — rzetelną i sprawdzonp — o marnowaniu grosza publicznego, niech współdziała w tępieniu głupstw i bezdusznego biurokratyzmu, niech uderza w jaskrawe objawy protekcji czy egoizmu".

Obawiać się należy, że w tej zachęcie kryje się nietylko truizm, ale niepokojące wręcz nieporozumienie.

W Polsce jest niezmiernie wiele zła, prywaty, nadużyć, protekcji i t. d. i t. d. Gdyby dosłownie przejąć się wezwaniem p. wicepremjera, jakiemż monotonnem piekłem stałoby się nasze życie publiczne, jakimż monitorem obwieszczeń niemoralności stałaby się prasa w Polsce! Wszak już nazajutrz po wywiadzie, w liście otwartym organ opozycyjny zaproponował skwapliwie i nahalnie p. ministrowi Kwiatkowskiemu metodyczne omówienie sposobów realizacji zaproponowanej przezeń akcji w prasie... Cóż prostszego i łatwiejszego! Np. „Nowe Czasy" mogłyby natychmiast otworzyć obszerną rubrykę, rejestrującą — rzetelne i sprawdzone — fakty nepotyzmu, protekcji, bezdusznego biurokratyzmu na terenie Lwowa... Jakiż interes zrobiłoby na tej pikantnej akcji nasze pismo, jakże szeroko poczytnem stałoby się odrazu! Każdy obywatel ma i może piętnować! Każdy organ prasowy ma i powinien alarmować! Wszyscy — słyszycie! po sowiecku: wszyscy — mają demaskować, donosić, ogłaszać, sądzić...

Nie. To nie jest, to nie może być pożyteczna dla Państwa akcja! To jest, to byłby rozkład.

Do demaskowania nadużyć wszelkiego rodzaju — powołane są organy, przez prawo powołane. Jeśli prawo jest złe, jeśli prawo jest niejasne, toleruje nadużycia — trzeba takie prawo zmienić i stworzyć inne, lepsze. Jeśli organy do tępienia nadużyć powołane — z zadania tego się nie wywiązują lub źle wywiązują, jeśli — co najgorsze! — zło pokrywają lub nawet protegują — trzeba te organy pędzić na cztery wiatry, zamknąć do kryminału, a w ich miejsce dać nowe.

To jest zadanie Państwa i tylko Państwa. Państwa silnego. Rządu silnego. Jeśli Rząd miałby powiedzieć: ja nie potrafię skutecznie tępić zła — narodzie pomóż! — to taki Rząd nie byłby silnym. To byłby rząd słaby. Taka prośba do publiczności — byłaby manifestacją słabości. I — co tu dużo mówić! — zachętą do kontrrewolucji!

Indywidualizm prowadzi do anarchji i niemocy społecznej.

Nowy minister oświaty, prof. Świętosławski — również w wywiadzie noworocznym — wypowiedział kilku uwag nader interesujących.

„Każdy powinien, mojem zdaniem, przejść przez szkołę pracy fizycznej i z dumą wspominać, że coś dla Polski własnoręcznie zbudował. Obok tego szkoła powinna zaprawiać młodzież do wykonania pracy zbiorowej, gdzie znika indywidualizm, a efekty realne daje czyn zbiorowy, wykonany przez rzesze w karnym, zwartym szeregu. Na tym odcinku wychowania rozwijać trzeba karność i świadomość konieczności wyrzeczenia się indywidualności jednostek. Mądrość rządzenia polega na znalezieniu drogi, wiodącej poprzez indywidualność pracy człowieka do jednolitej akcji zbiorowej. Każde inne rozwiązanie prowadzić musi do anarchji lub społecznej niemocy".

Jeśli dobrze rozumiemy p. ministra, to formuła jego brzmi: indywidualizm tylko wówczas jest siłą twórczą, jeśli wyżywa się w zorganizowanej służbie do dobra zbiorowego.

Trzeba stwierdzić, że w obecnym przejściowym okresie kultu dla „indywidualności" niezorganizowanej i raczej odspołecznianej — wybrzmiewa z głosu min. Świętosławskiego melodja jakby samodzielna i niedoharmonizowana.

Fałsz epigonizmu

W literaturze epigonizm nie jest zjawiskiem ani nienormalnem ani obłudnem. Jako wynik silnego wpływu twórców epoki poprzedniej na twórców epoki następnej jest jak gdyby dokumentem wielkości tych pierwszych.

Jako zjawisko, epigonizm daje się zauważyć przedewszystkiem w poezji. Na tym bowiem terenie ludzkiej twórczości forma utworu literackiego, jego ton zasadniczy sprzyja najlepiej tworzeniu się prądów i szkół.

Obowiązuje jednak w literaturze prawo ciągłości kulturalnego rozwoju. Większość pisarzy, już w konsekwencji swego fachu, musi posiadać systematyczne wykształcenie humanistyczne, musi poznać i znać, historję literacką wieków poprzednich. I właśnie ta kultura literacka, ta świadomość swego miejsca na szlaku rozwojowym kultury ludzkiej — to właśnie sprawia, że epigoni nie uważają swych utworów za rewelacje artystyczne, nie głoszą haseł rewolucji estetycznej, nie uważają się za konkwistadorów, za odkrywców nowych światów. Kultura humanistyczna uczy skromności, **narzuca** ją niemal charakterowi ludzkiemu, jako swą nieuchronną konsekwencję.

Trzebaby jeszcze sformułować, dla celów, do których zmierzam, kiedy właściwie możemy mówić o „naśladowaniu", które nie jest już tylko zwykłem zapożyczeniem, twórczem wykorzystaniem zdobyczy epok minionych, lecz wyraźnem epigoństwem.

Uważam, że epigonizm „klasyczny" pojawia się dopiero wtedy, gdy cechy istotne sztuki „naśladowanej" zostaną już dokładnie sformułowane, opisane, ujęte w pewien system. W pracy tej twórcy jakiegoś kierunku bywają prawie zawsze wyręczani przez swoich przeciwników. Jak długo jakiś prąd kulturalny, czy poczynania jakiejś szkoły estetycznej są żywe, świeże, zgodne z duchem epoki — bo tylko wtedy „epoka" skłonna jest je aprobować, — tak długo nie może być mowy o epigonizmie. Wtedy naśladowanie poprzedników uchodzi za pracę twórczą, za rozwijanie i wzbogacanie wartości, stworzonych przez innych. I wtedy to „naśladowanie" nie jest w swej istocie tem, co przez to określenie — bez cudzysłowu — normalnie rozumiemy.

Dopiero gdy znajdzie się grupa ludzi, niezadowolonych z dotychczasowego stanu w pewnej gałęzi sztuki — wtedy dopiero jest miejsce na epigonizm. Ludzie ci bowiem muszą powiedzieć wyraźnie co mianowicie nie podoba im się u ich poprzedników, co uważają za złe, za przestarzałe, wsteczne. Oni właśnie muszą być pierwszymi rejestratorami zdobyczy swoich poprzedników. I wtedy dopiero, kiedy praca ta jest już dokonana, kiedy wiadomo, że „poprzednicy" odeszli już do historji literatury — jeżeli wtedy występują naśladowcy, którzy odważają się wykrzykiwać, że oni są autorami twórczości **nowej,** żywej, że oni dokonywują rewolucji estetycznej, że wogóle **oni,** wtedy dopiero mamy do czynienia nietylko z epigonizmem, ale i z **fałszem epigonizmu.**

To co wyżej powiedziałem nie jest żadną analizą. Pominąłem tu świadomie cały zespół zagadnień, łączących się ze sprawą epigonizmu, i pominąłem je świadomie. Chodziło jedynie o krótki szkic zagadnienia zasadniczego, — było mi to bowiem potrzebne dla zilustrowania pewnej szczególnej sytuacji, jaką stwarzają w zagadnieniach socjalnych pewni współcześni ideolodzy.

Więc najpierw konstatacje:

Stanisław Piasecki, redaktor naczelny tygodnika „Prosto z mostu" jest ideologiem. — W czyjem imieniu przemawia, jakich i czyich interesów broni? — Przemawia w interesie drobnego mieszczaństwa i małej własności ziemskiej. — Dowody? — Woła namiętnie o dekoncentrację produkcji, o przemianę **nielicznych** wielkich warsztatów produkcyjnych na **liczne** małe, „o oparcie życia gospodarczego na zasadach moralności, o wtopienie go w ten sam system nakazów i obowiązków, który nami kieruje we wszystkich dziedzinach życia". To ostatnie żądanie — oparcia życia gospodarczego na zasadach moralności — jest szczególnie interesujące. Każdy chętnie gotów jest dać się złapać na ten dekalogowy haczyk. Kto bowiem nie chciałby, nie pragnąłby tego gorąco, aby właściciele zakładów produkcyjnych, aby wszyscy pracodawcy, postępowali ze swoimi najemnikami uczciwie? Pragnęłaby tego najsilniej inteligencja zawodowa, która wskutek „lepszego rozpoznania" dziejących się wokół niej zjawisk najboleśniej dostrzega wszelkie objawy i efekty żerowania na cudzej pracy. Więc moralność. Oprzeć na moralności normy gospodarczego działania! — Ale co to znaczy? Jak w praktyce będzie to wyglądało? I dlaczego pewni ideolodzy mówią zawsze o moralności, o etyce, o dekalogu i prawach moralnych — wtedy, gdy ich słowa dotyczą spraw gospodarczych, o pieniądzach, o możliwościach ekonomicznych, o forsie, gdy idzie o sprawę kultury, moralności i t. p.?

Powoli.

Przez lekturę pism Stanisława Piaseckiego nie da się przekonać właścicieli wszystkich zakładów produkcyjnych w Polsce, że kapitalizacja wewnętrzna, że ciągłe zwiększenie kapitału przedsiębiorstwa jest czemś niepotrzebnem (pomijam tu już zwykły wyzysk, nie oparty o motyw kapitalizacji). Jeżeli więc w ten sposób — drogą wpływu moralnego, nie da się zmienić form i norm naszego gospodarowania, trzeba więc zrobić to w sposób inny. Trzeba postawić strażnika. Trzeba zamianować kogoś, ktoby w każdym zakładzie produkcyjnym — stał na straży norm moralnych, jakiemi właściciele zakładu winni się kierować. Zaszliśmy więc — dokąd? Do hitlerowskiej ustawy o wprowadzeniu do warsztatów produkcyjnych „komisarzy moralności". Jesteśmy więc w domu. Faszyzm.

Ale nie o to chodzi w tym artykule — nie o to, czy Stanisław Piasecki, naczelny publicysta i krytyk „Prosto z mostu" jest faszystą. Aby to stwierdzić nie trzeba się było wdawać aż w analizę jego postulatów gospodarczych. Są one całkiem jasne, łatwe do umiejscowienia i zupełnie, ale to zupełnie jednoznaczne. Nie chodzi w tym artykule również o wykazanie, że Stanisław Piasecki jest ideologiem grupy polskich epigonów włoskiego i niemieckiego faszyzmu. Chodzi natomiast o wykazanie **fałszu** tego epigonizmu. Roman Dmowski i Stanisław Grabski, od dawna, od bardzo dawna głoszą, że drogą rozmaitych reform należy dążyć do scalenia i powiększenia karłowatych gospodarstw rolnych, że należy dążyć do przywrócenia rentowności małym warstatom produkcyjnym. Ludzie ci głoszą te hasła w intencjach jaknajszczerszych. Nie można im również zarzucić, aby nie dążyli do oparcia zasad gospodarowania na **normach moralnych.** — Dalej: włoski a nawet niemiecki faszyzm był prądem **szczerze rewolucyjnym.** Pragnął, za pomocą kontroli członków partji zmusić właścicieli zakładów produkcyjnych do kierowania się w swem gospodarczem działaniu prawami moralnemi. Faszyzm mówił o moralności. Faszyzm mówił dużo o moralności i etyce. Faszyzm stwarzał mity — porywające, sugestywne, rewolucyjne. Żadna dziedzina ludzkiej twórczości nie nadaje się tak dobrze na materjał do mitów, do dalekosiężnych, pięknych perspektyw, co moralność. Faszyzm stwarzał **naprawdę piękne** mity. Ale po swojem zwycięstwie faszyzm musiał rządzić, musiał wziąć się do organizowania życia według swoich haseł. Lecz mitologja, choć jest jedną z najpiękniejszych i najwznioślejszych form ludzkiej twórczości, mało ma wspólnego ze wskaźnikami cen, nadwartością i eksportem jaj. Nie można na Homerze budować ustroju socjalnego. Praktyka faszyzmu musiała więc odbiec daleko od niehomeryckich mitów. Jak daleko odbiegła — nie trzeba o tem pisać.

To było. I to jest — ale w sensie innym, aniżeli nam tu chodzi. Stwierdzamy tylko raz jeszcze — przecież jesteśmy optymistami; nie wymawiajmy **każdej** naturze ludzkiej, że jest podła jak **każda** — iż faszyzm **był** prądem szczerze rewolucyjnym. że szczerze pragnął „ulżyć robotniczej doli", zmusić kapitalistów do ugięcia karku. Potem, gdy się rozczarował sam co do swoich własnych możliwości, nie cofnął się z raz obranej drogi, puścił się na dalszą twórczość mitologiczną, po homerycku brnął dalej.

Na świecie żyją jednak nietylko faszyści. Nawet nie trudno to stwierdzić, jeżeli ma się pod ręką jakiś mały rocznik statystyczny z wykazem więźniów politycznych. [illegible]iści postarali się więc o to, aby [illegible] w faszyzmu socjalnie umiejscowić, [illegible]sać ich, zrejestrować — wedle rang, [illegible]pni służbowych, wysokości rent, doch[illegible]dów i t. d. Okazało się — drobnomieszcz[illegible]nie (którzy w obawie przed rządami proletarjatu zdobyli się na bunt przeciw kapitalistom, aby — pokonawszy ich — wejść z nimi w sojusz). Mądre marksowskie głowy poprawiły starego Marksa: przewidywał on, w miarę rozwoju kapitalizmu, zwiększanie się rzesz proletarjatu, zanikanie kasty pośredniej, t. j. drobnomieszczaństwa, i komulację kapitału w ręku nielicznych finansistów. Poprawiły mądre marksowskie głowy — choć trochę późno, już po udzieleniu poparcia hitlerowcom — starego Marksa. I oto w tych poprawkach pokazany został całkiem jasno cały mechanizm tej walki, jaką stoczyć musiało drobnomieszczaństwo, idąc ku swemu zwycięstwu, idąc ku faszyzmowi. Mądre marksowskie głowy — nie zaszkodzi tu zaznaczyć, że nie były to głowy polskie — uzewnętrzniły sprężyny tego mechanizmu aż do siwej stali. Najzawziętsi wrogowie faszyzmu napisali mu doskonałą monografję.

I oto teraz, po tem wszystkiem, u nas, w Polsce, w Warszawie, młody człowiek, kierujący wielkim tygodnikiem literackim, krytyk czytujący „zagraniczne" książki, wnikliwy socjolog i cyniczny ideolog — w mocnych słowach ogłasza światu, Wojciechowi Skuzie, Polsce, „Lewarowi" i polskiemu drobnomieszczaństwu (no bo kto go czyta?), że jest przeciw kapitalizmowi, że jest za integralną reformą socjalną, że jest za prawami moralnemi w życiu gospodarczem, za walką z wyzyskiem, z wilczemi prawami ustroju kapitalistycznego — **że jest!** Klasyczny i cyniczny epigon. Cyniczny — bo klasyczny: z marksistyczną analizą faszyzmu w jednej ręce, przepisuje — drugą ręką wyczytane argumenty, wyłuskuje z rozebranej na cząsteczki przez marksizm machiny faszystowskiej kółka i sprężynki, podrzuca je w górę — na wysokość niezbyt wielką, aby krótkowzroczni, zatabaczeni małomieszczanie mogli je łatwo dojrzeć! — i głośno krzyczy, że te kółka i sprężynki muszą w Polsce zrobić porządek. Radykalny! Właśnie radykalny! — Albowiem w pojęciu klasycznego epigona mieści się implicite pojęcie radykała.

Radykalizm jest tu niezbędnie potrzebny. Spełnia on bowiem w tym systemie myślową rolę „pieprzyka co wali" — i trzeba dopiero podejść nieco bliżej aby z łatwością rozpoznać po zapachu, że jest to ordynarny wabik co pieprzy.

Jesteśmy świadkami cudownego zjawiska, jesteśmy świadkami materjalizacji pojęć oderwanych — na naszych oczach bowiem fałsz inkarnuje się w żywe ciało i w krew żywą.

Trzeba tu stwierdzić, że nasza l[illegible]acka prasa proletarjacka („Lewar") [illegible]ęła w omawianej sprawie stanowisko [illegible]ość dziwne na to, aby można je było na[illegible]wać niesamowitem. Coraz więcej w na[illegible]m życiu publicznem zjawisk niesamowit[illegible]h. Zamieniamy się powoli (ale systemat[illegible] nie!) w „wielki" Grand Guignol. [illegible] podjęto z Piaseckim poważną polem[illegible] parowano zarzuty, atakowano twierd[illegible]nia. Całkiem — jakby to był przeciwn[illegible] uczciwy. — Tak dyskutować można by[illegible] z faszystą w roku 1925. — Poprawion[illegible] się i tym razem — za późno.

Ciekawa walka o pięści biednych, za[illegible]tabaczonych małomieszczan (kto bowiem przy obecnym stanie naszego czytelnictwa, przegląda „Prosto z mostu" i „Lewar"?) rozgrywa się u nas na dwu narówni niewłaściwych płaszczyznach: cynicznego werbunku i naiwnego zastraszania oraz gróźb. Fałszywa jest tylko ta druga płaszczyzna. Pierwsza bowiem z istoty swej nie może być inna. — Drugą należałoby zmienić.

Andrzej Kruczkowski.



Złudzenia kulturalisty

Książka Aleksandra Świętochowskiego*), czcigodnego z wieku pisarza, wychowawcy — przyznajmy — całych niemal pokoleń pisarzy polskich i myślicieli (n. p. Brzozowskiego, Abramowskiego, Żeromskiego), jest zdarzeniem niezwykłem nietylko dla podeszłego wieku jej autora, który ciągle jeszcze czujnym wzrokiem rozpatruje się w rzeczywistości naszej, — ale przedewszystkiem z powodu ważności jej treści i oddźwięku, jaki budzi u nas. Albowiem kiedy jeszcze poszczególne jej rozdziały ukazywały się w czasopiśmie „Prosto z mostu", znajdowały one natychmiastowe echo w prasie perjodycznej, nawet codziennej bez względu na różne odcienie politycznie. Jest to już zjawisko wiele mówiące, symptom niemal naszych czasów, przemian, które dokonują się w umysłowości i poglądach społeczeństwa. Zająć się więc niem trzeba, gdyż zyskuje z dniem każdym na przestrzenności i sile, a kryje w sobie pewne niepożądane możliwości w odniesieniu do spraw zasadniczych.

Świętochowski miał w Polsce popularność w tem znaczeniu, że oddziaływał na opinję publiczną w sferach inteligencji polskiej b. Królestwa Polskiego, a nawet i za kordonem. Popularność ta jednak miała swoje fazy: osiągała szczyty, ale też załamywała się na czas dłuższy. Największe jej nasilenie przypada na początek działalności publicystycznej Świętochowskiego, kiedy w polemicznych artykułach likwidował kompetencje romantyzmu, jako regulatora życia narodowego. Załamywała się zaś, i to zupełnie, na „Wskazaniach Politycznych", które dla jednej części społeczeństwa były poprostu sformułowaniem ugodowego kierunku polskiej myśli politycznej; dla drugiego zaś odłamu — były wysnuciem najdalszych wniosków z ówcześnie panujących w Europie zachodniej założeń filozoficzno - kulturalistycznych.

Pogląd, że kultura jest głównym celem, nadzieją i ostateczną ucieczką podbitego narodu, że jest jego największą siłą, był przez czas dłuższy wśród polskiej inteligencji, nawet radykalnej i niepodległościowo nastrojonej, najoczywistszem Credo. Toteż gdy w okresie rewolucji na ziemiach Królestwa Polskiego rozległy się raz po raz strzały bojowców P. P. S., walczących z rozwiniętym sztandarem w regularnym szyku z wojskiem (a nie policją tylko!) zaborcy, — nie było to w smak zarówno ugodowcom „narodowym" z pod znaku Romana Dmowskiego, jak też kulturalistom z grupy Świętochowskiego. Przecie nie kto inny, tylko on właśnie rzucił anatemę na bojowców, nazwał ich „pokoleniem przeklętem".

Przygotowania do walki czynnej z zaborcą w kilku ostatnich latach przed wojną światową zagłuszały głosy humanistów i kulturalistów. „Poseł prawdy" pozostał ze swą „prawdą" odosobniony. Do głosu doszła prawda inna, prawdziwsza, prawda o sile, przemocy, walce, jako jedynym środku do przezwyciężenia zła na ziemi polskiej, do przełamania niewoli. Że ta jedyna prawda zwyciężyła, było to następstwo naturalne nietylko bezprzykładnego, „romantycznego" bohaterstwa, ale też obliczeń, dokonywanych na trzeźwo wobec zaobserwowanych bystrze warunków rzeczywistości. Ta prawda o sile, wyrąbującej dobru szlaki jego pochodu i rozwoju, była i jest do dziś dnia jedynym warunkiem racji bytu prawdy o kulturze.

Zdawałoby się, że bijący w oczy jasnością, fakt odzyskania niepodległości drogą walki przekonał naszych kulturalistów o mylności ich przeświadczeń. Tymczasem jednak ostatnia książka ich patrjarchy i nestora tkwi nadal w dawnych błędach, jakby na dowód spostrzeżenia i eldmana, który w Świętochowskim nie widział żadnej ewolucji poglądów.

Bo oto patrzmy i słuchajmy: wedle Świętochowskiego, nie byliśmy zdolni do zrzucenia sami niewoli, „kajdany z Polski zdjęto" (o. c. str. 92), niepodległość odzyskaliśmy tylko „w szczęśliwej grze wypadków politycznych" (str. 8). A jako panaceum na różne nasze obecne niedomagania, Świętochowski niedwuznacznie podsuwa nam nic mądrzejszego... dla wskazań teraźniejszości" (str. 218), jak właśnie program pozytywizmu z całym jego kodeksem, nawet z zaniechaniem „męczeńskich i osłabiających ofiar w porywach zbrojnych, usiłujących niemocą pokonać trzy wielkie potęgi, trzymające nas w niewoli" (ibid). Oczywista, to ostatnie wskazanie na dziś nieaktualne, bo życie powiedziało coś wręcz przeciwnego. W tem jednak odezwaniu się tkwi cała istota kulturalizmu: nie armja bowiem jest potęgą, ale kultura! (Por. str. 214). Dlatego nie podoba się Świętochowskiemu książę Józef, bo dbał tylko o honor rycerski i nasycił nim treść całego swego życia. To może być ze stanowiska kulturalisty zrozumiałe; ale dlaczego, wskazując jako cel narodu, kulturę, oburza się tak żywo — i słusznie! — że bezpośrednio po rozbiorach Polski mało było czynów zbrojnych dla odebrania łupu zaborcom? Dlaczego gani takich typowych kulturalistów, jak Kołłątaja, Staszica, Czackiego, a chwali właśnie i jedynie Kościuszkę? Czy za jego demokratyzm, dodajmy, chwiejny, niezdecydowany? Dlaczego potępia — i bardzo słusznie — zgniliznę moralną Stanisława Augusta i wierzchołków społecznych w Polsce, skoro jednym z jej powodów, i to nie błahych wcale, jest właśnie gwałtowna inwazja zagranicznych, kosmopolitycznych, „postępowych" prądów kulturalnych do Polski? Wszakże szczyty społeczne, olśnione blichtrem nieunarodowionej jeszcze kultury oświecenia, przyjawszy jej racjonalistyczno - sensualistyczną truciznę, znieczulone były zupełnie na tragiczny los polityczny państwa. Sympatje przecież filozofów oficjalnych oświecenia, n. p. Voltaire'a były po stronie Katarzyny, Fryderyka II; tylko jeden, człowiek o czującem sercu, Rousseau był po naszej stronie!

Tak samo, niestety, i ów zalecany pozytywizm zabijał w nas wrażliwość na ciężary niewoli. Bo i racjonalizm i pozytywizm mają atmosferę pokrewną, w której człowiek żyć nie potrafi. Ten wolny, zdawałoby się, od wszelkich przesądów człowiek oświecenia czy pozytywista, był w gruncie rzeczy niewolnikiem faktu, który dokonał się poza nim, przyrody, jej praw, materji. Wyrzekając się romantycznego „czucia i wiary", intuicji i woli, wyrzekał się tem samem działalności i czynu, wyrzekał się tem samem najczystszych źródeł moralnych realizacji.

Rozwój „człowieka zupełnego" — jak go nazwał w „Prelekcjach" Mickiewicz — może się dokonywać jedynie pod tchnieniem idej ponadludzkich, w służbie wartości wyrastających ponad miarę człowieczą. Ta jest droga prawdziwego postępu, jeśli prowadzi ona ku górze, ku tym ideom. Tymczasem w ujęciu demokratyczno - liberalnem postęp odbywa się na poziomie: szczyty zniżają się ku dołom. A przecież Świętochowski jeszcze stosunkowo niedawno był zwolennikiem (może tylko chwilowo?) owego postępu człowieka ku górze. W powieści bowiem „Nałęcze", mówiąc o wartościach szlachty, pragnie raczej lud „doszlachcać" (por. poglądy Gerwazego w „Panu Tadeuszu"), aniżeli „odszlachcać", jak to wyraża w ostatniej swej publikacji.

Niewątpliwie, książka Świętochowskiego zawiera bardzo wiele trafnych ocen naszej współczesności. Błędy nasze polityczne, społeczno - ustrojowe, gospodarcze wypływają istotnie z wad naszego charakteru narodowego, przedewszystkiem z anarchistycznego indywidualizmu, który ostatecznie sprowadził na nas niewolę, czyli zupełne zahamowanie naszego życia narodowego. Od trzeciego rozbioru wszystkie nasze dążenia i twórczość kulturalna nosi już piętno niewoli: dążenie niewolnika do zrzucenia jarzma. Każda zdobycz społeczna, kulturalna, artystyczna, którą obserwowaliśmy na Zachodzie, u nas podlegała najpierw wartościowaniu na podstawie kryterjum: czy pomoże nam do wybicia się na niepodległość polityczną. Ceniliśmy zatem tylko te „dobra kultury", które wyrastały z tchnienia naszych dążeń do niepodległości, a więc romantyczną poezję, historjografję, socjologję, filozofję, słowem kulturę romantyczną, która była i korelatem i pożywką ideologji czynu i walki z zaborcą. Tego o kulturze wieku Oświecenia, o kulturze pozytywistycznej, obcej bohaterskości kultury romantycznej, jej ikaryzmowi, powiedzieć nie można.

Ta kultura bohaterska, której fundamentem jest czyn, wyprowadziła państwo polskie z mroków niewoli. Ta kultura bohaterska jest dla nas źródłem siły w teraźniejszości. Tam doszukujemy się wskazań „na dziś" i na zawsze. W pismach Mickiewicza, Słowackiego znajdziemy całe kompleksy mitów, które, uwzględniając warunki dzisiejszego życia, podać należy współczesnemu człowiekowi polskiemu do zrealizowania. Biadolenia nad rzekomą bezideowością obecnych czasów oraz oskarżanie o to naszego systemu państwowego jest już nierozumieniem istoty naszego życia narodowego, które siły odrodzeńcze czerpać będzie z własnych źródeł, nie zaś z importowanych doktryn oświeceniowych czy pozytywistycznych.

Jeśli więc państwo polskie jest produktem procesu realizacyjnego tych wizyj, które tworzyła kultura romantyczna, to z tego faktu wypływają dwa wnioski, że po pierwsze, nie może być mowy o jakimś zatargu pryncypialnym między kulturą a państwem (jak nam to pragnie narzucić pozytywista Świętochowski): państwo bowiem stwarza najbardziej konkretne podścielisko dla twórczości kulturalistycznej — byt polityczny, i nadaje jej siłę czynną. Drugi wniosek opiewa tak, że kultura romantyczna, która tworzyła się, powtarzamy, w naszych dążeniach do niepodległego państwa, jest jedynym dzisiaj i w przyszłości zbiornikiem sił moralnych, zdolnych przetworzyć człowieka do realizacji mitu Polski nowej. Marzenia o jakiejś kulturze oderwanej od państwa, mającej nawet zastąpić je w zupełności, należą do zakresu tych nieuleczalnych złudzeń, którym ulegają umysły racjonalistyczne, doktrynerskie.

Stefan Kawyn

*) Aleksander Świętochowski: Genealogja teraźniejszości, Warszawa, Towarzystwo Wydawnicze „Rój", 1936, str. 232.

MARJAN PROMIŃSKI

Europa i Afryka na wyrywki

Reportaż z podróży

Triest—Gdynia.

Autor rozpoczyna niniejszym felietonem druk reportażu z podróży, odbytej na M/S Piłsudski. (Red.).

W jakim celu ludzie podróżują? Aby się uczyć, poznawać, zdobywać praktyczną wiedzę o świecie.

Dla potwierdzania własnych wartości, w walce o autorytet moralny na wewnętrzny użytek, z tem że namiętne obcowanie ze światem może wynikać z obawy przed samotnością, lub z woli objawiania ludziom własnej interpretacji odwiecznego sensu we wszystkiem.

Wreszcie dla wypoczynku, przecinka, urlopu, dla pięknej iluminacji nijakiego życia, które razem z tą furą wrzeń, konceptów wojewódzkich, rozgrywek szlemowych i spotniałych sztosów nad ranem, zczeźnie z tego świata i nie pozostawi po sobie nawet piany na zmąconej wodzie, przez którą szybowało bezczelne i ważne, dopóki było.

Podróżnicy, warci tego miana, rekrutują się tylko z pierwszej i drugiej kategorji. Z pierwszej wywiodę zawodowych globtrotterów, ludzi polityki, ekonomji i techniki, zdobywających określone wiadomości z określonych miejsc na ziemi dla wiadomych i pewnych celów. Druga kategorja jest już warstwą mętniejszą, przybywa na intuitywnie obrane miejsca ze stacyj niewiadomego przybycia, posmakuje trochę kraju i poduma, nie zdając sobie sprawy w przeddzień odjazdu, dokąd odjedzie i poco? Tak podróżują legje pięknoduchów i ahaswerów, cicho oblepiających swe kufry nalepkami egzotycznych hoteli, a także artystów, którzy w przeciwieństwie do tamtych, wiedząc, że gdzieś coś jest, zdają sobie sprawę, że jest wszystko wszędzie, tylko nie na każdem miejscu jednakowo dobrze słucha się im brzmienia świata. Czasem z tej rzeszy wytryśnie skandal, zbełta się dokoła czegoś awanturka, kogoś odstawią do granicy, kogoś zamkną, pokaże się, że „doktór nauk przyrodniczych, z żoną" zamienia przez pomyłkę sakwojaże, nie płaci rachunków w hotelu, zostawia kamienie w walizkach i śpieszy mu się na dworzec, kiedy powinien z tarasów swego apartamentu oglądać panoramę miasta. Takim policja przycina skrzydła niebieskoptaszę i długo nie wypuszcza ich ze swych objęć.

Zostawiam jednak owych romantycznych rycerzy przestrzeni dla przyjrzenia się trzeciej i ostatniej kategorji podróżników, tych podsłuchnych, urlopników, „pragnących wytchnąć", dla których wogóle tanio jak barszcz, i bez paszportu, stanowiących najpewniejszą jednostkę gotówkową w kalkulacji biur podróży. To był, o ile mnie węch nie mylił, materjał dla m/s Piłsudskiego, który w jakiś sposób musiał się dostać z Monfalcone do macierzystego portu, a szkoda by szedł pusty. Zdarzyło mu się, owszem, zaadoptować kogoś z rasowych podróżników, takich co to musieli, poprostu z obowiązku reprezentacji lub dziennikarstwa, choć im się nie chciało, ale nie uważali tego za podróż lecz za wycieczkę, not a journey but a trip, stawali przy burcie w zwyczajnych marynarkowych ubraniach, żadnych płócien tropikalnych, żadnych korkowych kasków, jakby jechali tramwajem do Łazienek; mają czas wolny do 5-ej popołudniu. Bardzo stylowi ludzie. I sylwety finansowo - przemysłowe też ciekawe, przeważnie beczkowate, omszałe od starości, kostropate, jak słonie sunące na miejsce skonania, w otoczeniu dyrektorów filij, młodszych, niekiedy z hebrajska melancholijnych, motających przesom dyskretne „szmule".

W wielu wypadkach na dancingach, na czarno seledynowej posadzce, objawiało się świadomym rzeczy, że adwokaci, lekarze, inżynierowie, pracują w swoich zawodach tylko ze wstydu, byle coś robić, właściwie wszyscy z zamiłowania są tancerzami, i że z rozkoszą szybowaliby tak swoje partnerki do niewiadomej śmierci, wynajdując po każdej gamie kroków coraz to dziwniejsze pointy ruchowe. „Malo, malo, panowie". Kapelmistrz, młody blondynkowaty wyśmiany i wyskakany łobuz saksofonowy, mrużył oczko, taksując ocenia pierś przy piersi, ma rutynę w spojrzeniu, z każdego zbliżenia wnioskuje czy nici z tego będą czy szczęście. Kobiety błyszczą sukniami, wyparoszyły je z kufrów wielkich jak bankowe safe'y, proszą w powietrzu zapachem skóry i pudru, dorodne, nordyckie, wykarmione na dyrektorskich tantjemach, obciążone dziedzicznym manicurem i świeżym pedicurem, o łososiowych paznogciach, i stopach wymięklych od kąpieli. Szampan gaśnie w płaskich kieliszkach, po tańcu taniec, coś narasta, jakby miało wieść do jakiegoś spełnienia, mówi się, że zabawa wzbiera, ale do czego? Oświetlone korytarze cmokają od kroków, lakowe drzwi kabin szczękają w klamkach, ten i ów wraca po coś do siebie, wypoczywa, chłodzi się, okręt drży pod pracą motorów, na spacerowym tub wyjdzie aż do szalupowego i słonecznego (względnie księżycowego) panowie wydymają na wiatr rozmokłe gorsy, panie ciała zgrzane pod jedwabiem. Morze Śródziemne ma swoje prawa. W barach rozlewają koktele, przeważnie dla recydywistów, runda od dzioba przez rufę do dzioba i na jednego, żeby się dobrze jechało. Jedzie się dobrze, nie można się skarżyć, ale co będzie na „Biskajkach", jak mówi mit morski. O 3-iej nad ranem w opustoszałych fumoir'ach siedzą jeszcze te pary, które nie zdołały sobie wszystkiego powiedzieć; zaciskają przygodne znajomości dłońmi do niedawna obcemi, ktoś samotny wlecze poduszkę i pled na pokład, omotany w płaszcz po szyję, w czapce na uszy, tak przedsiębierze podróż w podróży, w poszukiwaniu dogodnego leżaka do spania, w kabinie go dusi.

Ale zacznijmy od początku, na syntezy i dygresje będzie dostatecznie wiele czasu. Z Katowic zabrały nas dwa pociągi, odchodzące w odstępie jednodniowym, pierwszy z postojem w Wiedniu, drugi bezpośredni do Triestu. Jeśli zatem mowa o obejrzeniu całego tonażu ludzkiego, przeznaczonego na okręt, było to dopiero możliwe na dworcu Północnym w Wiedniu, gdzie oba pociągi się zetknęły i niby dwie ruchome ojczyzny wyczulały się z okien do okien w gromkich pokrzykach. Wiedeńczycy żegnali nas muzyką, i był to bodaj ostatni zespół orkiestrowy, który można było oglądać za okna a potem za burty. Nawet Włosi, choć z ich doków wyszedł m/s Piłsudski, nie uważali za stosowne potrąbić nieco na molo, ale już od granicy przez rozmaitych mundurowców zaglądali w oczy pasażerów, budząc ich ze snu przedrannego dla sprawdzenia, czy niema przypadkiem pod ławką ochotników do armji abisyńskiej, albo przemytu. Bardzo podejrzliwy naród.

Już na Semmeringu przykryła nas noc. Widać było tylko światła hoteli, miasteczek, dworców, i na serpentynach złote paciorki okien innych pociągów i pomarańczowe wybuchy dwu lokomotyw. Nad ranem, trochę słotnem, — Alpy Julijskie, szaro-granitowe urwiska, grynszpanowe lasy, nory tuneli wypadających na wiadukty, wysoko ponad węzłami potoków, splecionych pod koniec w pamiętne z czasów wojny Tagljamento. Na szosach znowu wojsko, strzelcy italscy w góralskich kapeluszkach z piórkiem, w błękitnych mundurach, drobni smagli chłopcy, śpieszący na manewry przed niewiadomą kampanją. Koło Pontebby wypadają przy dworczykach pierwsze prawdziwie italskie domki, o płaskich dachach, przytrzymywanych w ruladach dachówek kamieniami przed zimową borą, małe, pobudowane chimerycznie, uzupełniane w miarę potrzeby. Za amfiteatralnie rozsypaną na wzgórzu pod Monte Chiampon Gemoną wyścielają się już płaskie niziny Lombardji, obsadzone jak ogród kukurydzą, winem i cmentarnemi stożkami cyprysów w białych mankietach niskich murków. Od Udine pociąg zbacza w kierunku Gorycji. Tu toczyły się najostrzejsze boje, po których dziś jeszcze prawie po latach 20-tu zostały pogruchotane zręby zameczków, za twardych by rozbiórka okaleczałych resztek mogła się opłacić. Wszyscy z walizkami niemal już przy nodze wypatrują zamku cesarzowej austrjackiej Miramare, jest! Podjeżdżamy do Triestu od strony Monfalcone, z widocznym zdala kadłubem m/s Batorego. Pociąg przeszumiał pod Triest.

Nasze zaokrętowanie na „Piłsudskiego" wyglądało jak zagranie nieznanego utworu prima vista, bałaganik niezgorszy, Italczycy łamali sobie języki na polskich nazwiskach, ich tragarze zaś łamali nasze walizy, tak że oglądanie tego procederu bezpiecznie z pokładu okrętu było demonstracją fabryki defasonowania bagażu, którego niejednokrotnie jeszcze po dwóch dniach nie można było odnaleźć i wprowadzić do własnej kabiny.

sztuka

Z OKTOSTYCHÓW

Ucieczka w podróży

Może z za błękitnego archipelagu
Wyfruną żagle pod różową flagą.

I może w oczach przestanie już palić,
Gdy ląd zielony skryje się śród fali.

Wieczór zapachnie może pomarańczą:
— Policzę gwiazdy, jak długi różaniec.

Gdy granat nocy o burtę zadzwoni,
To może spokój usiądzie kolomnie.

TADEUSZ ŻAKIEJ

Zofja Nałkowska

Zofja Nałkowska otrzymała nagrodę państwową za całokształt twórczości literackiej, ze szczególnem uwzględnieniem utworów (powieści i dramatów) z lat ostatnich. Należą do nich utwory powieściowe: „Niedobra miłość" (1928), „Ściany świata" (1931) i „Granica" (1935), oraz dramaty: „Dom kobiet" i „Dzień jego powrotu".

Przyjęło się nazywać Nałkowską najwybitniejszą przedstawicielką polskiej powieści psychologicznej. Jest tak niewątpliwie. Zainteresowania psychologiczne są u niej od początku twórczości, od lat najwcześniejszych. Zajmuje pisarkę szczególnie problem stosunku kobiety do mężczyzny, sprawa miłości. W miarę lat, z każdym utworem nabiera Nałkowska coraz większej siły, jej dzieła są coraz mocniejsze i trwalsze. Jedne po drugich są one jakby wzajemnem udoskonalaniem się, ciągłem rozszerzeniem wiedzy o wnętrzu człowieka i umiejętności zdobywania najprostszego, najmniej banalnego sposobu wyrażania się. Tak też jest, że aby zrozumieć jakieś dzieło Nałkowskiej, nie wystarczy poznać je samo jedno, raz i drugi, zgłębić choćby wielokrotnie; pozostanie jakaś niewiadoma, jakieś uczucie braku, nieoswojenia się, nawet obcości. Pozostaje to w związku z tem, że część siebie Nałkowska wypowiedziała już w utworach poprzednich, że następne są jakby nieuchwytnem nawiązaniem do tamtych. W żadnej bowiem pisarce polskiej, a kto wie, czy i w którymś pisarzu, nie istnieje taka potrzeba filozoficznego uzasadniania człowieka — zwłaszcza człowieka — i świata, a więc tego wszystkiego, co jest z nim nazawsze związane, jak właśnie u Nałkowskiej. Nie wiem, czy kto już zauważył, że jej utwory są zbudowane z tezą; jest to teza nawskróś światopoglądowa. W istocie rzeczy da się ona wykreślić niemal linją prostą poprzez wszystkie utwory, szczególnie jednolita a zarazem najbardziej rozrosła wszechstronna stanie się w latach ostatnich. Najwyższem, najpełniejszem osiągnięciem i filozoficzno - psychologicznem i artystycznem jest „Granica".

Podstawową tezą jej jest relatywizm wszelkich przeżyć wewnętrznych człowieka i stosunków międzyludzkich. Wiadomo — to jest już banalne — inny jest człowiek, gdy się na niego patrzy oczyma drugiego, i tyle jest „inności", ile jest tych oczu. Ale i wewnątrz człowiek nie jest monolitem: jest terenem walki nieustannych sprzeczności, wywołujących rozdwojenie. Czego innego chce świadomość, czem innem kieruje się podświadomość.

Drugiem ujęciem życia w pewne karby jest przypisanie im fatalizmu. Ten fatalizm, mimo, że jest czysto psychologiczny, ma w sobie coś nieuchronnego, wielkiego i tragicznego, jak fatalizm tragedji greckiej. W człowieku siedzi od samego jego urodzenia jakaś mojra, jakiś jego los, który mu został dany, a z którym on rozstać się nie może, uwolnić się od niego nie jest w stanie. Walka przeciw temu losowi jest beznadziejna, przynosząca w ostateczności zatratę lub całkowitą zgubę.

Najlepszym przykładem jest „Dzień jego powrotu". Ksawery wraca do domu, po odsiedzeniu kary więzienia za zabicie człowieka, i pragnie nawiązać życie tak, jakby więzienie nie zrobiło w niem jakiejś przerwy. Ksawery zabił mężczyznę w domu jakiejś kobiety, Monika, żona Ksawerego, sądziła, że mąż ją zdradził, czuje się więc zupełnie wolną i zdradza go. Znajduje kochanka, naprawdę go kocha. Ksawery wraca już do innego domu. Monika kocha już nietylko jego, ale i Tomasza, swego kochanka. I teraz dowiadujemy się prawdy wewnętrznej Ksawerego. W Ksawerym, nie nad nim, ale właśnie w nim samym tkwi fatalizm zabijania, morderstwa. Przejawił się najpierw na wojnie — Ksawery zabił bez przyczyny niewinnego człowieka. Ten pierwszy czyn ujawnił mu, że jest zdolny do zabijania — fakt psychiczny przeszedł ze stanu podświadomości do świadomości. Po powrocie z wojny tłumi w sobie instynkt, ukrywa przed Moniką tajemnicę swoich możliwości — zabija człowieka, gdy ten zagroził, że wyda przed Moniką owe nieuzasadnione zabójstwo na froncie. Monika się teraz dowiaduje, że kobieta nie odegrała w ich stosunku żadnej roli. Jednak jest już zapóźno. Mimo, że kocha Ksawerego i Tomasza, chce odejść z kochankiem — ten jednak ginie z ręki jej męża. Fatalizmowi stało się zadość.

Jeśli się weźmie pod uwagę ostatnie pięć dzieł Nałkowskiej, to da się w nich uchwycić jakby jedna forma, jeden sposób ujmowania zagadnień ludzkich — jest to znany już i szeroko omawiany problem schematów. Mówi się o tem wprost w „Granicy": — „i tak rzecz cała ułożyła się ściśle według wiadomego schematu: dziewczyna wiejska i panna z mieszczańskiej kamienicy, narzeczona i kochanka, miłość idealna i zmysły". I każdy człowiek, według Nałkowskiej, nosi z sobą taki schemat, on w nich i z niemi żyje. I to jest życie. Schematy posiadają jakąś irrealną granicę, jakiś punkt moralny, którego nie można przekroczyć, za którym czai się katastrofa. Wyszedłszy z kręgu schematów, człowiek traci równowagę psychiczną, dokonywa występków. Dzieje się to jednak mimo jego woli — on nie ponosi za nie odpowiedzialności, bo nie popełnia winy. Bo te schematy są zgóry określone, zdeterminowane — niezależne od myśli, działania i uczuć człowieka. Szczególnie w tych kilku ostatnich utworach powtarza się schemat „niedobrej miłości", miłości niezawinionej, jednak niszczącej szczęście inych ludzi. W „Niedobrej miłości" widoczny schemat: Blizbon, jego żona Agnieszka, będąca wyrazem samej piękności i radości życia, i wchodząca w ten krąg, Renata Słuczańska. Renata, słuchająca instynktu miłości. „Radosna i cudowna" Agnieszka, jej życie i szczęście zostają zniweczone przez „niedobrą miłość" Blizboha i Renaty. W „Dniu jego powrotu" znowu schemat: kobieta i dwu mężczyzn odwrócenie tamtego. Podobny w „Domu kobiet": mężczyzna i dwie kobiety. W „Granicy" wspomniany już schemat żony i kochanki, uzupełniony przez schemat dwu mężów Cecylji Kolichowskiej.

Wszędzie są katastrofy, wszędzie są ofiary, wszędzie wina i kara, wszędzie nieokreśloność, rozmaitość wnętrza człowieka. Problem, który nieustannie Nałkowska rozprowadza, rozświetla, chwyta, jest głęboko dramatyczny, prawdziwie tragiczny. Ma w sobie jakiś patos, jakąś wielkość. Nic więc dziwnego, że pewnego dnia doszła ona do twórczości dramatycznej i odrazu okazała się w niej, mimo debjutu, mocna i zdobywająca. Do polskiej dramaturgji tak ubogiej i nieoryginalnej wniosła świeży oddech, świeży i głęboki, drgający subtelnemi tonami. Nie dziwimy się też, że „Niedobra miłość" została przerobiona na scenę. Okaże napewno nowe i pozostawiające nazawsze głębokie sugestje dno życia, dno człowieka, do którego Nałkowska usiłuje koniecznie dojść, zbadać.

To zainteresowanie życiem, wszelkiemi jego objawami, jego intelektualna wiwisekcja, pasjonuje Nałkowską wszędzie i zawsze. Trzeba wierzyć, że „Granica", mimo, iż jest dotychczas najlepszem jej dziełem, nie jest ostatniem i jedynem, że Nałkowska ciągle idzie, ciągle można od niej oczekiwać czegoś nowego, oryginalnego.

Tegoroczna literacka nagroda państwowa dostała się pisarce wielkiej miary. Stała się rzecz słuszna i sprawiedliwa.

Karol Kuryluk.

Rok 1935 w literaturze polskiej

W jakikolwiek sposób podejdzie się do zagadnienia — bilans polskiej twórczości piśmienniczej w roku minionym, kronika najważniejszych w życiu literackiem wydarzeń narzuca się uwadze krytyka w pewnych zespołach zjawisk, narazie trudnych do syntetycznego ujęcia, nie mniej pogłębiających wyraźnie najogólniejsze linje rozwojowe pisarstwa polskiego w ostatnich latach.

Szkic niniejszy, nie mający oczywiście pretensji do zupełności i krytycznego wartościowania zjawisk, pragnie życie literackie ubiegłego roku ująć w szeregi dat bibljograficznych, jako substrat do ogólniejszych rozważań historyczno krytycznych.

Rok 1934 był w literaturze polskiej a w szczegółowym przypadku w powieści, datą przełomu. W tym roku drukuje się wielka cykliczna epopea psychologiczno - obyczajowa Marji Dąbrowskiej. „Nocy i dnie", zjawisko, nawet w proporcjach europejskich rewelacyjne i dla twórczości polskiej zupełnie reprezentatywne, od kilkunastu lat kulminacyjne osiągnięcie w prozie powieściowej — wysuwa powieść na czoło produkcji literackiej. Zdawaćby się mogło, że w zgodzie z djalektyką rozwojową gatunków literackich po tem niebywałym triumfie powieści — okres następny przyniesie raczej wyczerpanie i osłabienie tego gatunku, wysuwając na czoło literatury rodzaj inny.

Tymczasem przeciwnie. Rok 1935 w dalszym ciągu utrwala się historycznie jako okres przewagi powieści a w szczegółowym wypadku oznacza inwazję świetnych talentów kobiecych, czy to w postaci udanych debjutów czy też ustalając na pierwszorzędnych pozycjach nazwiska przedtem już znane. Rok ten wysuwa Ewę Szelburg Zarębinę na jedno z pierwszych miejsc w prozie, równocześnie front piór kobiecych zmacnia szereg nowych talentów, jak **Wanda Wasilewska** („Ojczyzna"), **Boguszewska Helena, Pola Gojawiczyńska** („Ziemia Elżbiety", „Dziewczęta z Nowolipek"), **Halina Górska,** a pod koniec roku **Zofja Nałkowska** ogłasza nową świetną powieść „Granicę".

W tym roku akademik Berent, laureat państwowej nagrody, ogłasza 2 tomy opowieści „Nurt". Powieść ta, jak zwrot do powieści historycznej w „Czerwonych tarczach" Jarosława Iwaszkiewicza, opiewających dzieje Henryka ks. Sandomierskiego, również nie na długo narzuciły się uwadze czytelnika.

Natomiast dwie inne pozycje powieściowe, równocześnie prawie wydane pod koniec roku, nabrały rozgłosu niezwykłego; pierwsza, dzięki rzetelnej wartości, świadomej i ambitnej trosce autora o ostateczną doskonałość pisarską, oddawna wyczekiwana, przez 10 lat prawie na warsztacie przed niecierpliwym czytelnikiem chowana „Sól ziemi" Józefa Witlina (laureata nagrody Penklubu za przekład Odysseji Homera) i druga to „Zmory" Zegadłowicza.

Ten obraz produkcji powieściowej dopełnia w sposób znamienny twórczość młodych o wyraźnem, zdecydowanem obliczu społecznem. **Leon Kruczkowski** wydaje drugą powieść pod tytułem „Pawie pióra", spółka autorska **Boguszewska i Kornacki:** „Jadą wozy z cegłą", **Wanda Wasilewska,** autorka „Oblicza dnia", wydaje „Ojczyznę". Zdumiewa dojrzałością debjut powieściopisarski **Wiesława Wohnuta** pod tytułem „Miłość i sprawa". Zwraca uwagę jeszcze jeden debjut chłopski: **Wincentego Burka** „Droga przez wieś".

Rok ubiegły, poza nowościami znakomitości pisarskich już uznanych, wzbogacił prozę napływem nowych sił pisarskich, przyczem łączące ich wszystkich wyraźne społeczne widzenie rzeczywistości pozwala z zainteresowaniem śledzić perspektywy najnowszej powieści polskiej.

Z kolei przejdźmy do poezji; rok ten nie zmienił zasadniczo obrazu poezji. **Juljan Tuwim** zajęty był w roku tym wydaniem „Słownika pijackiego i antologji bachicznej". Stan posiadania panującego pokolenia poetyckiego utrwaliły dwa zbiorki poetów „Skamandra": **Antoniego Słonimskiego** „Okno bez krat" i **Marji Pawlikowskiej - Jasnorzewskiej** p. t. „Balet powojów". Zarazem w roku tym ustala się poezja młodych, profile najmłodszych nabierają wyrazistości i ostrości; mnożą się i dużą żywotność wykazują prowincjonalne centra poetyckie, grupujące się przeważnie wokoło własnych redakcyj: młode Wilno w dawnych „Żagarach" obecnie gnieżdżące się w dodatku literackim „Kurjera Wileńskiego" pod redakcją Józefa Maślińskiego, w Krakowie dawni „Linjowcy", Lwów z niedobitkami „Sygnałów", **Chełm Lubelski,** wydający „Kamenę" pod redakcją Kazimierza Jaworskiego, oraz **Łódź** z grupą młodych poetów społecznych.

Większość tych środowisk poetyckich mających każde z osobna pretensje odnowicielskie i awangardowe znamionuje przedewszystkiem przeciwstawienie się panującemu w Polsce obozowi poetyckiemu „Skamandra" ale co znamienniejsze poczucie społecznej funkcjonalności twórczości pisarskiej wyrażające się nie rzadko w skrajnym radykaliźmie społecznym. Wpływ poetów awangardowych ustala się coraz bardziej z każdem nowem wystąpieniem **Marjana Czuchnowskiego, Juljana Przybosia, Józefa Łobodowskiego, Józefa Czechowicza.** Ten ostatni wydaje w tym roku tomik pod tytułem „W błyskawicy" poetów wileńskich ogłaszają tomiki **Zagórski** (nie pamiętam tytułu). **Jerzy Putrament** ogłasza „Wczoraj powrót", z poetów Łodzi **Grzegorz Tomofjejew** wydaje nowy tom „Inny horyzont".

Na wiosnę „Wiadomości literackie" wznawiają wydawnictwo **„Skamandra".** Fakt ten oznacza przedewszystkiem dalszą i długotrwałą żywotność poezji a dalej, że poezja polska, która ostatnio zaczęła się dzielić wyraźnie w dwu kierunkach, określanych z grubsza jako „Skamander" i „awangarda" teraz zbiegnie się prawdopodobnie w jedno główne koryto utrwalając nadwątlone nieco wpływy „Skamandra".

Jakkolwiek wznowione wydawnictwo nie może już dziś pretendować do tej roli, jaką miało przed 10 laty, przecież skupiło ono wszystkie najważniejsze siły poetyckie, przygarniając przedewszystkiem nowy, w przeciągu ostatnich lat narosły narybek poetycki; i ten jest wcale poważny. Na czele najmłodszego pokolenia poetyckiego stoi **Czesław Miłosz.** Z poetów młodego „Skamandra" — **Światopełk Karpiński** i **Józef Łobodowski.** Plebiscyt poetycki „Wiadomości literackich" wysuwa (może niezbyt trafnie) poetę poznańskiego, **Wojciecha Bąka.** Z poetów, którzy w ostatnich miesiącach zwrócili na siebie uwagę na łamach „Skamandra" **Stanisława Rogowskiego** wymienić należy na pierwszem miejscu. Z młodej prozy drukowanej w „Skamandrze" na uwagę zasługuje fragment: „Mięso w parku" **Marjana Promińskiego.** Walka między poetyką „Skamandra" i „awangardy" przedłuża się w dalszym ciągu, w niezliczonych dyskusjach i polemikach **(Zawodziński, Brzękowski, Kott, Fryde, Maśliński).**

Tak najogólóniej zarejestrowany rozwój poezji w roku ubiegłym rozszerzyćby można kilku przykładami z literatur obcych, zwłaszcza rosyjskiej. **Włodzimierz Słobodnik** wydał przekład „Domku w Kołomnie" Puszkina. **Sergjusza Jesienina** „Spowiedź chuligana i inne wiersze ukazały się w przekładzie **Kazimierza Jaworskiego. Witold Hulewicz** wydał **„Księgę godzin" Rilkiego.** Ciekawa jest również publikacja **Abramowicza „Wybór najmłodszej poezji litewskiej"** (Nowogródek 1935).

Najszczuplej w zestawieniu z produkcją powieściową i poetycką przedstawia się twórczość dramatopisarska. Do teatru przechodzi znakomita poetka **Marja Jasnorzewska Pawlikowska** („Powrót mamy", „Zalotnicy niebiescy"). Jako udany debjut zapisała się sztuka aktora **Antoniego Cwojdzińskiego:** „Teorja Einsteina" i następna „Tempo epoki". Poza tem wysiłki „Polskiego radja" kierowane w kierunku ożywienia oryginalnej twórczości dla radja, w postaci organizowania konkursów na słuchowiska i próby zainteresowania mikrofonem czołowych pisarzy dramatycznych dały narazie wyniki częściowe.

Tak w najogólniejszym zarysie przedstawia się życie literackie ubiegłego roku w sprawozdawczem zestawieniu pozycyj wydawniczych. Tego obrazu dopełnia jeszcze przegląd czasopiśmiennictwa literackiego, który z braku miejsca odkładamy do następnych numerów. Nie wzięto również pod uwagę sprawy ważniejszych konkursów literackich, nagród, stypendjów i wawrzynów, jak zwykle tak i tym razem niepotwierdzających właściwego układu sił w twórczości literackiej.

W. K.

Gdy dowcipniś jest ambitny

P. Hemar, przybywszy do Lwowa, aby sprzedać snobom mieszany towar swoich dowcipuszków i szmoncesów — opowiada pono po kawiarniach, że zamierza się ubiegać o wydzierżawienie mu teatru miejskiego po dyr. Horzycy.

Pomijamy fakt, że w tej chwili sprawa dzierżawy wogóle jest nieaktualna i że nic nikomu we Lwowie niewiadomo, jakoby miało się i po upływie obecnego kontraktu dzierawnego zanosić na zmianę personalną w kierownictwie teatru.

Chodzi natomiast o rzecz „samą" — niejako — „w sobie".

Ambicje teatralne p. Hemara mają swoją wymowę. To — signum temporis. Kto to już dzisiaj nie stara się o teatry... Jakież aspekty dla przybytków (a może już raczej: ubytków) sztuki... Zwłaszcza we Lwowie — wyobraźcie sobie państwo — rymkopisarz kabaretowy (bardzo utalentowany!) chorążym sztuki narodowej!

Swoją drogą, Żydzi są często bezprzykładnie pozbawieni taktu. Dziwią się wzbierającej fali antysemityzmu — gdy najniepotrzebniej w świecie drażnią i wyzywają.

Jeśli na zanotowanej pogłosce jest coś z prawdy — to ostrzegamy przed daremnym trudem. Obecna Rada miejska gotowa jeszcze w uniesieniu patrjotycznem uchwalić polityczny bojkot tak ważnej i nieocenionej dla teatrów rewjowych osoby... „Moffy niema".

▼

Wystawa ś. p. Karola Larischa

Lwowski Związek Zawodowy Artystów Plastyków.

Obecna wystawa Związku Plastyków jest pośmiertną wystawą obrazów śp. Karola **Larischa.** Zmarły przedwcześnie w tragicznym wypadku, młody malarz, zostawił po sobie szereg prac o dużej wartości plastycznej, których część widzimy obecnie we Lwowie.

Z okazji tej wystawy urządzanej już w kilku środowiskach polskich, pisano o nim wiele i określono miejsce jego w nowoczesnem malarstwie polskiem.

Karol Larisch ukończył Akademję Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie kształcił się pod kierunkiem prof. Pieńkowskiego, Pankiewicza i Kowarskiego. Studjował potem w Dreźnie i Paryżu, ten ostatni zwłaszcza pobyt zaważył na jego rozwoju artystycznym. W Paryżu pracuje pod kierunkiem prof. Pankiewicza a pozatem kopjuje w Luwrze Weroneza, Tycjana i Chardina. Po powrocie do kraju łączy się z grupą ideową „Pryzmatu", dla którego punktem wyjścia, podobnie jak i dla Larischa, jest kolor. Mając lat 33, ginie w pełni rozwoju życia i talentu w katastrofie motocyklowej, pod Skoczowem.

Oglądając jego wystawę, uderza przedewszystkiem jej różnorodność, tak pod względem ujęcia malarskiego, jak i poziomu. Widocznem staje się odrazu, że to nie sam artysta pokazuje nam świadomy wycinek swojej twórczości, ale że mamy tutaj do czynienia z pietyzmem zebranym, różnorodnym materjałem, mającym nam oświetlić rozwój artystyczny przedwcześnie zmarłego twórcy.

Śp. Karol Larisch był malarzem czystej krwi, podejście jego do obrazu jest przedewszystkiem malarskie, problemem najistotniejszym, kolor. Jego stosunek do świata otaczającego jest bardzo subjektywny, przeżywa on i odczuwa z ogromną subtelnością każdy nastrój kolorystyczny. Rzeczywistość przedstawia mu się przestrzennie i raczej realnie, jakkolwiek w razie potrzeby deformuje ją z całą świadomością. Uczuciowe i bezpośrednie ustosunkowanie się do tematu malarskiego jest jego rysem charakterystycznym.

Dla przeprowadzenia interesujących go zagadnień szuka różnorodnych rozwiązań. Widzimy obrazy malowane walorowo z świadomym podziałem na plan pierwszy i tło, obok prac, gdzie podział ten jest już całkowicie odrzucony, figura ludzka świadomie uproszczona dla zrównoważenia jej z pejzażem, obraz ujęty zupełnie równowartościowo pod względem formy i barwy. To samo widzimy i w kolorze, gdzie studjuje z zamiłowaniem zestawienia ugrów i sien, obok pejzaży malowanych subtelnie i soczyście, jasną paletą. Pewne zagadnienia kolorystyczne rozwiązuje w różnych warjantach, jak zestawienie ciemnych zgaszonych zieleni z odcieniami czerwonemi na pograniczu bronzów.

Tematowo, — motywem powtarzającym się wielokrotnie w rozmaitych odmianach, są kompozycje ludzi w pejzażu w różnorodnem ujęciu, pozatem sam krajobraz bez sztafażu, który jest może najistotniejszą jego drogą wypowiedzenia się, a wreszcie martwe natury zestawione bardzo harmonijnie i celowo. Skala barwna, którą operuje, jest bardzo rozległa, ale zdyscyplinowana i przemyślana, a kompozycja jasna i przejrzysta.

W rozwoju swojem Larisch, wyszedłszy z kompozycji walorowej i światłocieniowej, poszedł całkowicie w kierunku kolorystycznym, stając w rzędzie subtelnych kolorystów młodego pokolenia.

Mówiąc o znaczeniu wystawy Larischa, najlepiej zacytować zdanie Redakcji „Głosu Plastyków: „Twórczość śp. Karola Larischa jest nietylko świadectwem dążeń i osiągnięć przedwcześnie zgasłego artysty — ale jest również dokumentem i jakby przekrojem istotnej pracy, jaka dokonywuje się w chwili obecnej w szeregach współczesnej, młodej plastyki polskiej"!

Dr. Anna Marja Mars.

Opieka pozaszkolna jako ważny odcinek pracy społ.

Różne są zapatrywania na pracę społeczną w zależności od celu, jaki pragnie ona osiągnąć, a także od jakości stosowanych metod. Praca społeczna podobnie jak każda inna praca wykazuje światła i cienie. Zależy to przedewszystkiem od ludzi, czy praca w mowie będąca wykazuje więcej jasnych, czy też ziemnych stron.

Nie wdając się w omawianie tego, bądźcobądź aktualnego problemu, chciałbym zwrócić uwagę na zbyt mało może przez ogół doceniany, a jednak niezmiernie ważny odcinek pracy społecznej, jaki reprezentuje **opieka pozaszkolna,** a więc opieka nad dzieckiem, najczęściej dzieckiem bezrobotnego.

Pracę powyższą prowadzą różne czynniki. Prowadzi ją rząd, prowadzi samorząd, lecz zajmuje się nią w wysokim stopniu również czynnik obywatelski; praca ostatniego wynika z poczucia etyki, pozbawionego zatem jakiegokolwiek przymusu czy nakazu prawnego, a opartego jedynie na dobrowolności i chęci świadczenia drugim dobrze, na chęci i pragnieniu pomniejszenia zła społecznego i nędzy społecznej.

Różne komitety opieki pozaszkolnej, będące emanacją czynnika społecznego aczkolwiek przy bliskiej współpracy czynnika urzędowego, w różnych środowiskach — różnie pojmują i spełniają swe obowiązki. Jedne lepiej, drugie gorzej.

Jeśli chodzi o miasto Lwów, to z przyjemnością przyznać trzeba, że Miejski Komitet Opieki Pozaszkolnej pracuje nadzwyczaj skutecznie. Kierownictwo, spoczywające w rękach wybitnej i doświadczonej działaczki społecznej, wykazuje nietylko dużo inicjatywy, energji, zdolności organizacyjnych, poświęcenia, rozumu i t. d. lecz wkłada w tę pracę również dużo serca i uczucia. Umiejętnie dobrane i należycie zastosowane metody pracy musiały wydać i wydają znakomite jak na środki — rezultaty. Umiejętne selekcjonowanie współpracowników czy współpracowniczek wyklucza załamywanie się pracy, która dzięki temu systematycznie posuwa się po drodze rozwoju. Dowodem tego niech będzie sprawozdanie rachunkowe za rok 1934/5. Rozglądnijmy się w niem:

Wynika z niego, że gotówka wynosiła 19.205 zł., papiery wartościowe dłużnicy i zapasy 19.468 zł., nieruchomości 65.839 zł., depozyty 1.470 zł. i t. d. ogółem stan czynny majątku w roku sprawozdawczym wyniósł 115.956.20 zł., zaś w stanie biernym 42.282 zł. Rachunek dochodów i wydatków wykazuje, że Ogniska dały 85.584 zł. dochodów (w czem subwencja 77.337 zł.) a 56.399 zł. rozchodów (w czem płace wychowawczyń 29.993 zł., koszt dożywiana 16.284 zł., ubezpieczenia społeczne 5.594 zł. i t. d.). Sekcja dożywiania wykazuje w przychodach 164.911 zł, zaś w rozchodach. 194.690 zł. (przyczem koszt dożywiania w kuchniach Komitetu 112.615 zł.).

Pozycja: „Sekcja odzieżowa" wykazuje w dochodach 33.510 zł. zaś w rozchodach 31.663 zł. (w czem koszt obuwia i płaszczy 16.622 zł., koszt materjałów i dodatków 9.584 zł., płace szwaczek 2.357 zł. i t. p.). Kuchnie Komitetu wykazują w dochodach 123190 zł., w rozchodach 89.704 zł. Kuchnia akademicka zawiera w dochodach 20.647 zł., zaś w rozchodach kwotę 21.846 zł. Kolonja w Brzuchowicach otrzymała 21.108 zł. wydatkowała zaś 17.897 zł.

Na rzecz Półkolonji wpłynęło dzięki staraniom Komitetu 38.232 zł. Półkolonja zaś wydatkowała 43.335 zł. Schronisko dla nieletnich chłopców wykazuje w pozycji dochodów kwotę 13.276 zł., zaś w pozycji rozchodowej 13.010 zł.

Bufety: „Żelazna Woda" i „Zamarstynów" przyniosły 23.097 zł., zużyły natomiast kwotę 22.591 zł. Dotacja otrzymana stolarnie w wysokości 5.654 zł. została zużytkowana w tej samej wysokości. Tow. Opieki nad Matką i Dzieckiem wykazuje w dochodach 2.930 zł. zaś w rozchodach 2.005 zł. Kolektura wykazuje w dochodach 1.183 zł., zaś w wydatkach 1.118 zł. Koszta administracji wynoszą 16.746 zł., amortyzacja nieruchomości 13.167 zł. i t. p. Komitet posiada 12 półkolonji własnych ponadto 16 obcych subwencjonowanych przez M. K. O. P. Posiada on 12 własnych a 8 obcych, subwencjonowanych przez M. K. O. P. Ognisk MKOP istnieje 36.

Jak z powyższych cyfr wynika, akcja MKOP jest bardzo poważna. Przyczynia się ona nietylko do nakarmienia głodnych dzieci zwłaszcza bezrobotnych rodziców, a więc do poprawy stosunków zdrowotnościowych wśród młodego społeczeństwa, będącego największym skarbem wśród narodów, lecz daje ona zajęcie całemu szeregowi ludzi, tak z pośród inteligencji jak i pracowników fiz., co przyczynia się do złagodzenia nędzy bezrobocia.

Jak doniosłe skutki pociąga za sobą akcja MKOP wiedzą wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób zetknęli się z jego działalnością.

Wiele jest odcinków pracy społecznej, jednak trudno jest znaleść pracę, którąby tak głęboko sięgała do podstaw społeczeństwa, którąby była tak produktywna, aczkolwiek zaspokajanie potrzeb a nie produkcja jest jej celem i przeznaczeniem.

Cicha ta praca, o której mało się pisze, zasługuje w całej pełni na to, aby zwrócono na nią uwagę, bo jest to praca bardzo ważna. Ona to — karmiąc i odziewając biedne dzieci, łagodzi nędzę, ociera łzy, ostudza walki i tarcia socjalne, zabiera materjał palny wichrzeniom, poprawia stosunki higjeniczne, tamuje dostęp do szpitali i więzień — wychowuje jednostki, związane ze społeczeństwem, przysposabia do życia, stwarza warsztaty pracy dla inteligenta i pracownika fizycznego — jednem słowem goi i leczy rany społeczne i nędzę społeczną.

Akcja M. Komitetu Opieki Pozaszkolnej we Lwowie, nie robiąc różnic narodowościowych między dziećmi, przyczynia się do łagodzenia tarć na tle narodowościowem. Jest to zatem akcja par excellence pozytywna. Czy opieka pozaszkolna nie stanowi zatem jednego z najważniejszych odcinków pracy społecznej? Sądzę, że tak.

J. S.

Rejestracja życia sztuki

Wzmożona w ostatnich tygodniach dyskusja na temat ingerencji władzy państwowej do spraw ruchu artystycznego, ponadto powszechne zwrócenie uwagi na rolę artystów w życiu państwowem, każą o jednem przedewszystkiem pomyśleć. O tem mianowicie, że czynniki społecznie nadrzędne w stosunku do dziedziny życia z natury rzeczy rozwichrzonej i nieopanowanej spełniać muszą funkcje opiekuńcze i — obserwatorskie. Obserwatorskie, bo jeśli dorobek sztuki ma pozostać wartością wiecznotrwałą, jeśli ma być spostrzeżony i oceniony, ktoś musi zająć się rejestracją jego zjawisk. Każdy badacz kultury współczesnej, który sklinał wielokrotnie wszystkie bibljografje, wykazy i katalogi, niedokładne i przestarzałe, oceni kapitalny w koncepcji i wartościowy w realizacji rocznik „Życie Sztuki", redagowany przez prof. Z. L. Zaleskiego.

Aktualną sprawą jest mówić o „Życiu Sztuki" i jego funkcji publikacyjnej właśnie teraz, gdy przygotowuje się drugi rocznik tego wydawnictwa. Pierwszy przyjęty został z ciekawością; drugiego oczekuje się już z konkretnemi postulatami.

„Życie Sztuki", którego wydawnictwo podejmujemy, pragnie poruszać żywe zagadnienia i podawać kronikę żywych wydarzeń" — głosiło redakcyjne przedsłowie pierwszego rocznika. Powtarzające się już w pierwszem zdaniu pojęcie „żywości" podejmowanego trudu, przytaczane później wielokrotnie w całej przedmowie, świadczy dobitnie o twórczej ambicji redaktora. Pierwszy rocznik dał konkretną podstawę tej ambitnej zapowiedzi. W dziale „żywych zagadnień" zawarto rzeczywiście szereg artykułów o szerokim horyzoncie poznawczym i djalektycznym. Tak się jakoś złożyło, że dwa najwartościowsze artykuły zamieścili redaktorzy wydawnictwa: Z. L. Zaleski, rozległej wiedzy uczony, reprezentujący moment łączności spraw kultury polskiej z frontem kulturalnym całego świata, oraz znakomity teatrolog, Tymon Terlecki. Pierwszy omawia na łamach „Życia Sztuki" „Jedność i wielość sztuki", drugi pisze o „Tendencjach formalnych współczesnego teatru polskiego". Specjalną wagę reprezentuje rozprawka Tadeusza Zielińskiego: „Religja a sztuka w Grecji".

Część druga rocznika, owa „kronika żywych wydarzeń" jest dopiero owym cennym informatorem zainteresowanego całokształtem spraw artystycznych w Polsce. Jest tu przegląd wydarzeń w wszelkich dziedzinach sztuki: literatura — przekłady — plastyka — muzyka — teatr — film. Zaraz potem przegląd bibljograficzny. W tem tylko bieda, że materjał sprawozdawczy obejmuje rok 1933. Z tego wynika, że w roczniku II-gim omówiony zostanie dopiero rok 1934, a 1935 dopiero za rok. A więc spóźnienie o rok! Niedobrze.

Dział informacyj o zagranicy prezentuje T. Terlecki w obszernym artykule sprawozdawczo - bibljograficznym o Francji.

Ów rzut oka na treść pierwszego rocznika „Życia Sztuki" ma teraz znaczenie orjentujące, a może nawet instruktywne dla wydawców. Wydawnictwo jest potrzebne, należy je więc udostępnić wszystkim badaczom i krytykom. Przynajmniej zaproponować nabycie. Zbyt skromnie schowane w rojowisku półek księgarskich! Ponadto pożądany jest, nawet konieczny zaktualizowany materjał sprawozdawczy. Niech rocznik, wydany w styczniu 1936, obejmie materjał z roku 1935. Wtedy sens aktualności „Życia Sztuki" będzie pełny i wtedy wdzięczność, która za nie należy się Funduszowi Kultury Narodowej, będzie szersza w zrozumie twórczej opieki państwa nad sprawami sztuki.

B. W. Lewicki

Czy socjologja może pomóc czynnej polityce?

Tematem powyższym zajmował się II-gi Zjazd Socjologiczny, odbyty z końcem ub. roku w Warszawie. Poruszali go zwłaszcza dwaj wybitni uczestnicy Zjazdu, prof. J.St. Bystroń i prof. F. Znaniecki. Pierwszy postawił zagadnienie: czy można pogodzić z sobą „badanie", na którem właściwie powinna poprzestać socjologja, z „planowaniem", które wkracza w dziedzinę czynu? Dotychczasowy rozwój socjologji sprzeciwia się raczej takiemu stanowisku. Z chwilą porzucenia materjalizmu dziejowego, a dziś daleko jesteśmy już od niego, trudno jest wogóle wnioskować naukowo z danych przesłanek, że coś „musi się stać", zwłaszcza w dzisiejszych tak skomplikowanych procesach społecznych. Tem tłumaczy się, dlaczego socjologja przestała „planować", usunęła się od zadań praktycznych do szczegółowych badań teoretycznych, a konsekwentnie poczęli się od niej usuwać politycy społeczni, jako od nauki mało pożytecznej.

Rozbrat ten nie mógł jednak trwać długo. Zorjentowano się, że akcja polityki społecznej staje się powierzchowna, bo brak jej tych podstaw, jakie daje naukowe pogłębienie i uzasadnienie. Rozpoczęto więc znowu nawiązywać kontakt między teorją nauk społecznych a praktyką społeczną, między socjologją a polityką społeczną i wszystko wskazuje na to, że współpraca ich będzie coraz bliższa.

Socjologja przynosząc największe nawet korzyści polityce społecznej, nie wskazuje jej jednak nigdy celu akcji. Wytyczenie celu, do którego ma iść społeczeństwo, jest zagadnieniem ideologicznem, zawisłem od poglądu na świat, od ideologji religijnej, politycznej i t. p., — i nie należy do socjologji, ściśle pojętej, która jako nauka musi być „beznamiętną". Socjologja ma dać podstawy „planowania", współdziałać przy opracowywaniu planów, dać sprawdzian wartości tych czy innych poczynas społecznych. Cel polityki społecznej konstruujemy na innej drodze.

W nawiązaniu do tych wywodów, przedstawił prof. Znaniecki projekt zbiorowych badań socjologicznych nad państwowem społeczeństwem polskiem, jako całością. W przeciwieństwie do badań historycznych — studja socjologiczne nad współczesnem państwowem życiem polskiem zostały zaledwie zapoczątkowane. Prof. Znaniecki zaproponował ograniczenie się na razie do paru najważniejszych tematów: 1. Państwa polskiego, 2. dziecka polskiego, 3. wzajemnych wpływów wspólnoty polskiej i obcych. Analiza socjologiczna powyższych trzech grup zjawisk będzie stanowiła już ogromny materjał, a opracowanie jego odda wielką przysługę Państwu. Dla zjednoczenia wysiłków nad realizacją tych projektów postanowiono powołać do życia „Polskie Towarzystwo Socjologiczne", na którego czele stanął prof. J. St. Bystroń.

Inicjatywę powyższą należy powitać z dużem zadowoleniem. Myślący Polak niejednokrotnie zadaje sobie pytanie: dlaczego u nas nauka, pochłonięta poszukiwaniem „czystej" prawdy — w tak nikłym stopniu wprzęgnięta jest w rydwan realnych potrzeb budującego się Państwa? Jakże daleko w tyle pozostajemy za takimi np. Niemcami, w których najżarliwszy naukowiec nie odrywa się nigdy od życia swej wspólnoty narodowej i państwowej, w Niemczech, gdzie cała twórczość naukowa podporządkowuje się skutecznie służbie dla wielkości i potęgi swego kraju? Wszak dążenie do „czystej" prawdy nie musi pozostawać w sprzeczności z żywemi procesami rzeczywistości...

„Nasza Praca"

Towarzystwo Szkoły Ludowej rozpoczęło 45 rok swojej działalności niezwykle pożyteczną inicjatywą. Z Nowym Rokiem Zarząd główny — Sekcja Wschodnia T. S. L., rozpoczął wydawnictwo tygodnika ludowego „Nasza Praca", przeznaczonego dla szerokich mas włościańskich. Znaczenie tej inicjatywy uwydatni się, gdy zważymy, że — jak wieść niesie — pierwszy nakład tego tygodnika ukazał się w 50 tysiącach egzemplarzy. Z artykułu wstępnego: „Do czego dążymy" — dowiadujemy się, że nowe pismo ma służyć zaktywizowaniu społecznej energji mas chłopskich we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, kulturalnego i organizacyjnego. Stojąc na stanowisku zgodnego współżycia i współpracy wszystkich obywateli ziem południowo-wschodnich, „Nasza Praca" podnosi w szczególności postulat twórczości żywiołu polskiego tych ziem, jego konsolidacji i prężności.

Inicjatywę tę należy jak najgoręcej poprzeć, służy ona bowiem państwowej racji stanu na terenie województw poł. wschodnich.

O lwowskim humorze radjowym

W grudniu ub. roku Lwowskie Radjo nadało 125tą „Wesołą Lwowską Falę". Tę spóźnioną okazję do jubileuszu podejmiemy w tej chwili na sucho: rozważeniem problematyki humoru radjowego.

Nie ulega wątpliwości, że w chwili obecnej jedynym substratem realnym do takich rozważań może być tylko impreza „Wesołych Fal", jedyna w Polskiem Radjo, stała i nieustępliwa inicjatywa, która zagadnienie humoru wprowadziła właściwie na antenę i do dziś prawie niepodzielnie je reprezentuje. Zagadnienie to, jedno z najtrudniejszych w gospodarce programowej, dziś nareszcie paso nujące teoretyków i w pełni doceniane, stało się jedną z głównych trosk i zainteresowań władz programowych Radja, skoro dotychczasowy spec do tych spraw, Wiktor Budzyński, zaproszony został do zagajenia dyskusji na temat humoru radjowego, a w dyskusji udział wzięli: Irzykowski, Skiwski, Parandowski, Hulewicz, Słonimski, Wasowski i inni.

Jest rzeczą niewątpliwą że w okresie dotychczasowych prac Budzyńskiego, zrazu amatorskich i prowadzonych poomacku, niejedno podstawowe zagadnienie poraz pierwszy narzuciło się uwadze teoretyka radja dojrzało z czasem do sformułowania, stało się normą dla prac radjowych na przyszłość. Jest również rzeczą dzisiaj bezsporną, że człowiekiem, w którego twórczości wykrystalizowały się właśnie pewne stadja rozwojowe formy radjowej, który szczęśliwym i niezawodnym instynktem trafił właśnie na tę drogę, którą dziś uznać trzeba jako jedynie właściwą — był Wiktor Budzyński.

Kiedyś, za kilka lat, w Państwowym Instytucie Teatralnym powstanie napewno wydział sztuki radjowej. W tej przyszłej akademji (w której Budzyński będzie chyba wykładał wszystkie przedmioty i prowadził seminarja) chować się będą przyszli aktorzy, reżyserowie i praktycy radja. Ale jest rzeczą ciekawą, skąd wzięli się ci pierwsi ludzie, którzy w Polsce tworzyli radjo, jak doszli do tej wiedzy radjowej, której nie da chyba żadna szkoła; ludzie ci przechodzili do radja najczęściej od literatury i teatru (Hulewicz, Petry, Melina i inni).

Budzyński studjował prawo. Już wtedy zaczął się źle prowadzić. Organizował teatrzyki akademickie, których był w jednej osobie autorem, aktorem i reżyserem, w radjo wyglaszać zaczął tygodniowe wesołe feljetony. Dlatego wspominam o tych początkach, ażeby znaleźć źródła jego twórczości, która potem przeniesiona na teren radja, tu właśnie okazała się jedyna i niełatwa do zastąpienia w stu procentach mikrofonowa, rasowo radjowa.

W tem co Budzyński pierwszy odkrył i zdobył dla mikrofonu — to był przedewszystkiem folklor. Jako temat była to niewyczerpana kopalnia możliwości i kreacyj, od których roi się bruk i przedmieście lwowskie, po które trzeba było tylko sięgnąć ręką ażeby stworzyć jedyną w swoim rodzaju kapitalną comedję del arte. Stąd dla Lwowianina te kreacje radjowe lwowskiego humoru i folkloru, fantazji i sentymentu, stały się niesłychanie bliskie a dla słuchacza innych dzielnic stanowiły uroczy egzotyk. Tak piosenkę i gwarę lwowskich peryferyj wzięły na usta najodleglejsze dzielnice, a typy lwowskich Szczepków i Tońków ustaliły się w uchu słuchacza jako żywe plastyczne postacie.

To był podstawowy moment, który jak się okazało, dał gwarancję ciągłości i niewyczerpanej żywotności tej audycji: wykrystalizowanie się stałych typów radjowych. Było warunkiem niezbędnym w audycji radjowej, mającej do dyspozycji specyficzne i ograniczone środki ekspresji, wytworzenie pewnych schematów których się słuchacz domyślał w samej barwy głosu, poznawał po pierwszem słowie. Stąd przed sprawę tekstu wysunęła się jako ważniejsza strona formalna: ekspresja dźwiękowa, stały sposób mówienia, ustawienie głosu, stąd sprawa fabuły i dowcipu była nieraz drugorzędna.

Z powodzenia pierwszych eksperymentów Budzyński wyciągnął wnioski. Ustalił jako pewnik konieczność wypracowania najogólniejszych ram kompozycyjnych audycji, ustalenia formuł jej wypełniania. Inna rzecz że niejednokrotnie przychodzi mu też z pomocą szczęśliwy przypadek, z którego umiał zawsze wyciągać doświadczenie, ale nie ulega wątpliwości, że jednak od początku do dziś była „metoda w tem szaleństwie". Typy Fali okazały się schematami niezwykle pojemnemi, w których doskonale zmieścić się mogła **aktualność** z audycji na audycję, odnawiająca je nową treścią i nowemi możliwościami. Tak wytworzył się nieustający kontakt mikrofonu ze słuchaczem audycji, która stała się instrumentem swoiście rezonującym aktualność.

Wypracowawszy pewne niewątpliwe walory radjowe audycji, zdobywając stale coraz bogatsze doświadczenie i obycie mikrofonowe, zetknąwszy się zwłaszcza z dyrektorem rozgłośni Juljuszem Petrym, który w cudowny i sobie tylko właściwy sposób rozpalić potrafił jego ambicje twórcze, Budzyński podjął się rzeczy niezwykłej: systematycznego prowadzenia audycyj „Wesołych Fal", stałego dostarczania humoru. Tej pracy podjął się nietyle w poczuciu wartości doraźnej zabawy, jakiej dostarczała słuchaczowi, ale przedewszystkiem w zrozumieniu roli społecznej i możliwości swoistego poruszania zagadnień życia współczesnego.

W ten sposób audycja „Wesołych Fal" dzięki właściwemu zrozumieniu momentu społecznego, nabierać zaczęła podskórnego sensu, który zrazu przemycany, stał się jednak jej walorem trwałym i bezspornym. Dlatego podstawą wielkiej popularności „Wesołej Fali", był może przedewszystkiem kredyt morału u słuchaczy, który sobie wyrobiła zdecydowaną postawą społeczną i obywatelską.

Oczywiście, że oceniając całość tego wysiłku, sądzimy „Falę" nie po jej potknięciach się i pomyłkach, nie po niejednej słabej piosence czy błahym skeczu; sądzimy ją właśnie po jej szczytach. Te obowiązują.

Dziś jako inicjatywa kulturalna „Fala" ma swoją kartę w polskiem radjo. Najobjektywniej uznać w niej trzeba jej atuty bezsporne: niewyczerpaną, nieustępliwą energję, niesłabnący temperament, tempo i warunki jej trudnej pracy, w której przecież niedotrzymało jej kroku żadne inne środowisko, ale przedewszystkiem jej rolę społeczną i obywatelską.

W tem znaczeniu organizowanie humoru przez rozgłośnię lwowską powinno być w pierwszym rzędzie rozumiane i oceniane: jako pożyteczna i potrzebna placówka kultury.

Władysław Siekierski.

kultura fizyczna

Kryzys w polskim fotbalu

Obok szeroko dyskutowanej sprawy udziału naszych reprezentantów w tegorocznej Olimpjadzie, drugim przedmiotem dyskusji żywo dziś roztrząsanym w polskich kołach sportowych — jest ogólny u nas

upadek poziomu piłki nożnej.

Kroniki sportowe dzienników i całe kolumny czasopism sportowych poświęcają w wielkiej części swe miejsca temu zagadnieniu. Dociekają przyczyn upadku i szukają środków zaradczych.

To szczególne zainteresowanie jest wypływem największej dotychczas — wśród innych gałęzi sportu — popularności, jaką zyskała sobie w Polsce piłka nożna. Związek Piłkarski rejestruje zgórą 70.000 zawodników, przyczem może drugie tyle niezrzeszonych gra w piłkę. Piłka nożna jest grą sportową najbardziej atrakcyjną, na zawodach publiczność często przekracza dziesiątki tysięcy, a z reguły cyfra widzów na meczach naszej najwyższej klasy sięga 3—5.000. Tego rodzaju ustosunkowanie się publiczności daje klubom

wielkie dochody

i organizacje sportowe może właśnie dlatego przedewszystkiem zajmują się piłką nożną.

Dla charakterystyki uprzywilejowanego stanowiska tego sportu przypomnieć należy, że jeszcze niedawno dwa największe kluby lwowskie toczyły pomiędzy sobą papierową wojnę o miano najstarszego w Polsce. W walce tej nie brano pod uwagę, iż o wiele wcześniej, aniżeli fotbal, powstały na ziemiach polskich towarzystwa łyżwiarskie i cyklistów. **Synonimem sportu była jeszcze niedawno tylko piłka nożna.**

Nie zastanawiając się dłużej, dlaczego właśnie fotbal jest tem „oczkiem w głowie" dla szerokiego ogółu interesujących się sportem polskim, spróbujemy pokrótce dotrzeć do przyczyn stwierdzonego dziś ponad wszelką wątpliwość upadku tego sportu i sformułować środki, któreby choć w części przyczyniły się do jego uzdrowienia. Na wstępie należy stwierdzić, że właściwie poziom naszego piłkarstwa nawet za swych najlepszych czasów nigdy

nie był bardzo wysokim.

Fotbaliści polscy grali znacznie lepiej niż dziś, ale nie dorównywali nigdy w pełni, już nie Anglikom ale choćby zawodowcom austrjackim i węgierskim. Z Niemcami a także raz i z Czechami jeszcze niedawno spotykaliśmy się jak równi z równymi, przyczem w skrytości ducha przyznawaliśmy im wyższość. Byliśmy lepsi od Rumunów, wygrywaliśmy ze Szwecją, Finlandją, Belgją.

Również nasze czołowe zespoły klubowe osiągały dawniej o wiele lepsze wyniki, aniżeli dziś. Inna rzecz, że zespołów tych było bardzo niewiele, szczególnie: przedewszystkiem lwowska Pogoń, następnie Cracovia, Wisła, krótki czas I. F. C. z Katowic, no i jeszcze Warta poznańska w meczach z drużynami zagranicznemi nawet bardzo wysokiej klasy niejednokrotnie zwycięźały, a stale wychodziły z honorem. — To były czasy niedawne, okres minionej „świetności" przypadał na lata 1923—1933.

Dziś sprawa przedstawia się wręcz odwrotnie. Saldo spotkań międzypaństwowych z ubiegłego roku jest dla nas tak zastraszająco ujemne. Przegraliśmy z Rumunją, z Niemcami, z reprezentacją Lipska, z Jugosławją, niezaszczytne wyniki osiągnęliśmy z Łotwą.

Co zatem spowodowało aż taki upadek? Będzie to brzmiało może absurdalnie, ale twierdzimy, że przyczyną zła był

pieniądz.

To w innych dziedzinach źródło siły i powodzeń — w piłkarstwie naszem zostało źle użyte i dlatego stało się zarodkiem zła. Piłka nożna w Polsce oficjalnie jest sportem amatorskim —

tymczasem...

Podobno kiedyś powiedział czy napisał słynny znawca i dyktator austrjackiego fotbalu Hugo Meisel, iż z chwilą powstania pierwszego parkanu wokół boiska i uruchomienia pierwszej kasy wstępu, sport przestał być amatorskim. Miał p. Meisel rację. Młodzi chłopcy, grający w piłkę, widzą równocześnie, że ich występy przysparzają organizatorom tysiące i sami chcą także na tem zarobić. To jest zrozumiałe, bo trudno żądać od niewyrobionej młodzieży tak silnego charakteru, ażeby się poświęcila idei sportowej, bez żadnej rekompenzaty, podczas gdy równocześnie dzięki tej idei właśnie napływają pieniądze.

Ostatecznie można było tolerować taki stan rzeczy, w którym klub zawodnikowi, sportowcowi, co bronił jego barw, przez kilkanaście lat odznaczające się przytem pięknym charakterem sportowym i przywiązaniem do organizacji, w wyjątkowych okolicznościach zapłacił bądź takse uniwersytecką, czy inaczej pomógł. Ale to były wypadki wyjątkowe, nie mające wpływu na przywiązanie sportowca do jego organizacji. Klubem kierowali ludzie, o dużem doświadczeniu i wielkim autorytecie sportowym, wywierali oni na młodzież duży wpływ wychowawczy.

Z czasem jednak doszły do władzy elementy, których jedynym celem była **wygrana bez przebierania w środkach.**

Zaczęto sprowadzać lepszych graczy z innych miejscowości i płacić im. Ponieważ na stworzenie oficjalnego zawodowstwa brak u nas jeszcze mimo wszystko pieniędzy — płacono nie stałe gaże, ale w formie przeróżnych wygórowanych djet i równocześnie taki importowany czy z czasem zarażony również tą atmosferą miejscowy piłkarz — z reguły, dzięki staraniom klubu dostawał posadę, do czego w rzadkich wypadkach posiadał kwalifikacje. Ten niezdrowy i niemoralny stan, w konsekwencji doprowadził do tego, że zawodnicy, zdając sobie sprawę z tego, iż ich byt uzależniony jest od wyniku na boisku, dążyli per fas et ne fas do wygranej. Przeróżne bójki, awantury, umyślne uszkodzenia na meczach, a nawet sprawy w sądzie karnym — doprowadziły do tego, że wielki odsetek młodzieży inteligentnej odsunął się od czynnego udziału w tym sporcie i równocześnie Ministerstwo Oświaty wydało zakaz należenia młodzieży szkolnej do klubów, a uwagę i zainteresowanie uczniów skierowano na inne sporty.

Piłka nożna została pozbawiona **elementu inteligentnego.**

Tu tkwi przyczyna upadku piłki nożnej.

Komu przypisać winę? Młodzieży nie, — ale tym kierownikom, którzy płacili i zaniedbali zupełnie czynnik prawdziwie sportowy, czynnik wychowawczy. Kierownictwo dostało się w ręce ludzi, którzy sportu nie rozumieli i którzy dlatego wybrali złą drogę.

Dziś w piłkarstwie daje się wyraźnie zauważyć corazto większy zanik pierwiastka myśli na prawdziwie sportowym szlachetnem podłożu. Piłka nożna siłą rzeczy musi się oprzeć na rzeszach robotniczych i ta ewolucja już następuje, czego przykładem jest Śląsk. Bardzo krótkowzroczną okazała się zatem polityka, przemieniająca drużynę piłkarską **na przedsiębiorstwo widowiskowe.**

Mówiąc o przyczynach upadku piłkarstwa w Polsce trudno powstrzymywać się i od uwagi, że sami kierownicy tego sportu powytwarzali jakieś nienaturalne przeszkody. Uchwalono t. zw. karencję, polegającą na tem, ke niewolno zawodnikowi przejść z jednego klubu do drugiego. Można ją uważać za konieczne zło, przeciwdziałające przechodzeniu zawodników z klubu do klubów. Rzuca to również charakterystyczne światło na stosunki w piłkarstwie — ale jest największym hamulcem w podniesieniu poziomu. Szczególnie uwydatnia się to na tle całej masy piłkarskich klubików w Polsce, które niejednokrotnie, pozbawione prymitywnych środków — podświadomie niszczą narybek na przyszłych piłkarzy. Nie małem złem jest również obecny system mistrzostw najwyższej klasy, tzw. liga. System ten wzięty żywcem z zagranicy, nie odpowiada nam zupełnie. Zmusza on u nas zawodników do dalekich podróży. Dość wspomnieć, że lwowscy gracze w sezonie na same tylko mecze mistrzowskie muszą przejechać pond 9200 klm. Pochłania to i olbrzymie sumy. To są ważniejsze bolączki. Jak zaradzić złu?

Przerwać gry o mistrzostwo i wyzbyć się z drużyn tych, którzy z piłki zrobili sobie drugi zawód. Wciągnąć młodzież, która się garnie do prawdziwego sportu, dać jej trenerów a na kierowników ludzi, którzy **sport rozumieją i są mu oddani,** którzy wykażą się przynajmniej kilkuletnią pracą w organizacjach sportowych.

Zmienić trzeba przedewszystkiem dzisiejsze nastawienie psychiczne, bo sport, ażeby osiągnął szczyty, musi być tylko sportem, czy, jako amatorski, czy postawiony na platformie zawodowej, ale szczerze, jasno i uczciwie. I ten sport muszą prowadzić ludzie, którzy go znają, rozumieją i traktują jako czynnik społeczny, bo ci będą mieli i autorytet u młodzieży i dadzą gwarancję, że dla mistrzostwa, czyteż utrzymania się w danej klasie, nie wypaczy się samej idei, jak się to dzieje dziś.

T. L.

PRZED ROZWIĄZANIEM WAŻNEGO PROBLEMU.

Kurs organizatorów i działaczy sportowych urządzony przez M. K. W. F. rozpocznie się po 20-tym bm. Program kursu ujęty w trzy zasadnicze działy: ogólny, organizacyjno-administracyjny i szczegółowy obejmuje m. in. takie tematy, jak: w. f. jako zagadnienie społeczne, teorję w. f., etykę sportową, higjenę i ratownictwo, ustrój władz w. f., metody pracy w zależności od środowiska, organizację imprez, administrację klubów, omówienie ważniejszych działów sportowych i t. d.

Sprawę tę szerzej omówimy w najbliższej przyszłości.

Zgłoszenia przyjmuje się do 15 b. m. w Ratuszu, I. p., drzwi Nr. 134.

REDAKCJA OTWARTA CODZIEŃ OD 12—2.
ADMINISTRACJA OD 11—2 I OD 18—19 WIECZ. Z WYJĄTKIEM NIEDZIEL I ŚWIĄT
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: LWÓW, UL. CHORĄŻCZYZNY 7, II. P.
TELEFON 233-42 KONTO CZEKOWE P. K. O. „KADRA" 503.914.
PRENUMERATA ROCZNIE 5 ZŁ. KWARTALNIE 1.50 ZŁ. MIESIĘCZ. 0.50 ZŁ.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Roman Romanowicz Lwowska Drukarnia Nowoczesna — Pasaż Mikolascha. Tel. 216-76.